

echa IZERSKIE



"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie
Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020



**PARTNERSTWO
IZERSKIE**
Stowarzyszenie LGD

EGZEMPLARZ
BEZPŁATNY

Kwartalnik „Stowarzyszenia LGD PARTNERSTWO IZERSKIE”

Nr 46 (2023)

Od Redaktora

Kończymy kolejny rok naszej działalności i to jest okazja do refleksji. Chcielibyśmy jednak zachęcić naszych Czytelników do nie tylko podsumowań, ale przede wszystkim do rozmyślań o tym, jak na podstawie sukcesów minionego roku myśleć o przyszłości.

Jest bowiem oczywiste, że refleksje o tym co było są ważne, ale skupianie się nad przeszłością, a – jeszcze gorzej – ubolewanie, że dawne wartości zostały zaprzepaszczone – jest marnotrawieniem energii. I z całą pewnością bywa nieefektywne. Co innego, gdy zastanawiamy się, czy warto powrócić do źródeł tamtych udanych spraw? Czy w obecnej rzeczywistości jest na to miejsce? Jak nabytą świeżo wiedzę wykorzystać dla przyszłości? Niech okazją do podjęcia takich rozmyślań będą dwa teksty w niniejszym wydaniu „Ech” – jeden o Zawidowie, a drugi o Barcinku. Te teksty są rodzajem monologu dwóch mieszkańców tych obu miej-

scowości. Zechcieli oni nam – a za naszym pośrednictwem – Czytelnikom „Ech” o nich opowiedzieć. To bardzo subiektywne, ale przecież każdy tak właśnie postrzega swój dom. Zachęcamy także do lektury tekstów o kolejnych pomysłach gospodarczych, nowych inicjatywach społecznych. Mogą one stać się inspiracją i przyczynkiem dla kolejnych „niespokojnych” mieszkańców Pogórza Izerskiego, którzy wpadną na nowatorskie pomysły. W każdym wydaniu „Ech” popularyzujemy nowe idee, których autorzy skorzystali z naszej – LGD Partnerstwo Izerskie – pomocy i szans wsparcia finansowego, by przybliżyć realizację swoich zamierzeń.

A – życząc dobrej lektury – życzymy przede wszystkim naszym Czytelnikom, ich Rodzinom i Przyjaciółom udanych, pogodnych, rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia i Nowego 2024 Roku – pełnego udanych przedsięwzięć.

Redaktor Naczelna
Bożena Mulik, z Zespołem

Śniegu białego, świata pełnego słońca, urodzaju wszelakiego, satysfakcji i radości bez końca. Życzymy naszym Czytelnikom, mieszkańcom Pogórza Izerskiego pogodnych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia, Dobrego Roku 2024. Niech nam wszystkim przyniesie zgodę, harmonię w życiu i w pracy i zwyczajną radość
Zarząd LGD „Partnerstwo Izerskie” i pracownicy Biura

Świat warto widzieć po swojemu



Każdy artysta jest indywidualistą. Na tym m.in. polega wartość jego sztuki, że można poznać malarza po stylu malowania, a rzeźbiarza – po cechach bryły monumentu, który jest jego dziełem. Miłośnicy dobrej literatury też nie mają wątpliwości, czy książkę pisał ich idol, czy też ktoś zupełnie inny.

W malarstwie, w którym pierwsze wrażenie jest niezwykle ważne, walor wyrazistości jest szansą na sukces. Ale akurat ten rodzaj sztuki bywa szczególnie, bo malarz – portrecista, czy malarz – batalista nie zawsze odnajdzie się w malarstwie pejzażowym, czy tp.

Na Pogórzu Izerskim mamy sporo szczęścia do plastyków, a przypadek

Dariusza Milińskiego tylko to potwierdza. Jest twórcą wyjątkowym, bowiem potrafi się odnaleźć w bardzo wielu dziedzinach sztuki, od malarstwa, przez rzeźbę, literaturę aż do happeningów teatru ulicznego. Jest uniwersalny i prace plastyczne jego ręki są bardzo dlań charakterystyczne. A jednak jego sposób malowania i jego wiedza o teatrze pozwala na aktywność w wielu dyscyplinach. Zapraszamy do jego pracowni (str. 2) i do rozmowy z Nim. Autor plakatów do bardzo głośnych filmów polskich „Edi” i „Nikifor”, dziesiątek plakatów do spektakli teatralnych, obrazów, kalendarzy, książek, itp. itd. opowiada – jak widzi swój świat.

Zakochać się w... traktorze

Mówiąc o fanach motoryzacji najczęściej mamy na myśli motocyklistów, którzy na swoich harleyach albo ścigaczach zadają szyku, albo o kierowcach Formuły 1, czy też renomowanych firmach – producentach aut rajdowych, wyścigowych... Legendą szos bywa uznawany m.in. „porsche”.

Ale czy przychodzi komuś do głowy, żeby mówiąc „porsche” mieć na myśli... traktor!? Pyrkający, słamazarny, bezkształtny... – A jednak – owszem. W dodatku ludzie będący fanami traktorów marki „porsche” są równie w nie zapatrzeni, co ci, którzy kojarzą model tego pojazdu z nisko zawieszonym, płaskim niemal autem, który na szosach jest w stanie przemknąć jak wiatr.

Miłośnicy traktorów z Giebułtowa w gminie Mirsk udowodnili, że ich klan –ludzi zakochanych w traktorach jest spory i na tyle zmobilizowany, iż są w stanie dotrzeć do Giebułtowa, Leśnej i Gryfowa jadąc z dalekiej Danii. O nich na stronie 3.



Znowu mamy pociąg do pociągów



Całkiem niedawno, 20 – 30 lat temu widoczny był trend w komunikacji międzymiastowej pasażerskiej i towarowej wskazujący na to, że pociągi kończą swój ziemski byt. Być może pozostaną w komunikacji dalekobieżnej, ale już tylko w formule kolei wielkich prędkości, z pewnością nie w połączeniach regionalnych czy – jeszcze bardziej –

lokalnych. Uznawano, że powody ekonomiczne, wysoki koszt eksploatacji i utrzymania kolei, a przede wszystkim dynamicznie postępująca motoryzacja zmiecie pociągi z torów. Wyraziciele takich opinii nie czekali aż coś kogoś zmiecie – sami swoimi decyzjami zmiatali. Torowiska były opuszczane, bardzo liczne gminy poprowadziły po nich ścieżki rowerowe, budowano drogi, itp.

Zniknęła bezpowrotnie linia Lwówek Śląski – Świeradów-Zdrój przez Pławny i Lubomierz, realnym całkiem niedawno był plan wysadzenia mostu nad odnogą Zalewu Pilchowickiego, w zasadzie dla zabawy. Zasiadłono mieszkańcami budynki stacyjne, niektóre – jak na linii Lwówek Śląski – Złotoryja – popadły ruinę i nikt z nich nigdy nie będzie miał pożytku.

Aż tu zawiał wicher zmian. Kolejne odcinki linii kolejowych są rewitalizowane, wracają tam gdzie można pociągi i znowu decydecji przekonują, że to się opłaca.

O kolejach losu kolei z Gryfowa Śląskiego przez Mirsk do Świeradowa-Zdroju na stronie 12.



Kropka... i już!

Kropka oznacza z reguły koniec, w dodatku definitywny. Kto stawia kropkę, z reguły kończy jakąś sprawę, czasami do niej w ogóle nie wraca.

Ale kropka w przedszkolu w Starej Kamienicy ma wręcz odmienne znaczenie – każdego roku zaczyna nową inicjatywę. – Nie tylko w Starej Kamienicy – mówi Adam Spolnik – ale na całym świecie. Każdego roku, w połowie września obchodzimy, także u nas „Dzień Kropki”. To nawiązanie do sztuki propagowanej przez Japonkę, Yayoi Kusamę, dla której niepozorna kropka stała się inspiracją do twórczości, tworzenia dzieł z wykorzystaniem motywu kropki. A nasze dzieci w tym dniu przychodzą w kropkowanych ubrankach, rysują kropkowane obrazki... Wydawałoby się, że zwykła kropka nie będzie inspiracją do czegoś, co przyciągnie uwagę, a okazuje się, że może ona stanowić fantastyczną inspirację i sposób na wyrażenie siebie. Przez kropkę.

Rowerami w świat

W Olszynie powstał kilka miesięcy temu OKR – Olszyński Klub Rowerowy i szybko zyskuje popularność wśród wielu amatorów rowerowych eskapad. Jolanta Napadłek, dyrektor Ośrodka Kultury, przy którym ten klub zaistniał, podkreśla, że grupa nie tylko szybko się powiększa, ale od początku jej członkowie traktują swoje hobby bardzo serio.

– I nie chodzi tu wyłącznie o wspólne wyjazdy – mówi J. Napadłek – bo to wprawdzie najważniejsze, ale równie ważne są tendencje do zintegrowania środowiska. Mimo niedługiego stażu mamy już klubowe koszulki, stroje, a właśnie odbieramy klubowe kalendarze, a taka inicjatywa nieczęsto towarzyszy tego typu organizacjom. Wynika stąd, że cykliści olszyńscy czerpią sporą satysfakcję z bycia razem, a to jest bardzo istotne przy społecznych inicjatywach.

3 x świetlica

W gminie Sulików zmieniają swój wygląd wiejskie świetlice. Za 20 tys. zł pozyskane z Polskich Sieci Elektroenergetycznych zakupiono dodatkowe wyposażenie do świetlicy w Miedzianej, w tym stoły i krzesła konferencyjne, wieszaki lodówkę i szafy. W Radzimowie Górnym „wyrosły” przed świetlicą drzewa. Pojawiły się lipy katalpowe, a kończą się już prace przy branie i części ogrodu. Środki na ten cel też w większości nie obciążą budżetu samorządowego, bowiem nasadzenie drzew wynika z tzw. nasadzeń kompensacyjnych, które realizowała w ramach swoich zobowiązań wobec środowiska sulikowska Kopalnia Lafarge.

A w listopadzie została otwarta świetlica we Wroczowie Dolnym. Gruntowny remont pomieszczeń zmienił nie do poznania wygląd tej placówki. Pojawiły się też nowoczesne urządzenia sanitarne.

Rozmowa z Dariuszem Milińskim

Świat warto wiedzieć po swojemu

– Nie ukrywam, że było mi bardzo miło, kiedy film, do którego robiłem plakat „otarł się” o nominację do „Oskara” dla filmu nieanglojęzycznego – powiedział Dariusz Miliński, plastyk, happener, autor tysięcy obrazów, wielu widowisk teatralnych, rzeźb... Czegoż on NIE robił? – Można dopisać jeszcze – D. Miliński ma do siebie ogromny dystans i nie tylko poczucie autoironii, ale też upodobanie do traktowania siebie żartobliwie.

Autor tekstów do kilku piosenek, autor kilku książek, autor plakatów – filmowych i teatralnych, okładek do fantastycznych książek innych autorów... Ale to nie ma większego znaczenia – mówi – bo liczy się to, co umiesz zrobić dziś i będziesz umiał jutro. Kto chwali się tym, co zrobił przedwcześnie sam sobie wystawia marne świadectwo.

Czy ktoś może sobie wyobrazić „kolorowanki dla dorosłych”? W dodatku nie chodzi o tematy-



kę rysunków, zastrzeżoną dla osób 18+, a rysunki „kreską”, autorstwa malarza, które ktoś może kredkami i farbami uzupełnić wedle własnego talentu i wyobraźni. – Dla dzieci byłyby za trudne – tłumaczy autor pomysłu i wydawnictwa. – A dorośli świetnie się przy tym bawią. Tym

rzy z Pławnej zaczęli swoją twórczą wędrówkę po Polsce. Jak choćby Vahan Bego, Ormianin. Odnalazł się przypadkiem ponad 20 lat temu na jednym z licznych warsztatów rzeźbiarskich organizowanych przez D. Milińskiego. Po latach jego prace można zobaczyć nie tylko w Polsce.



bardziej, że mogą zerkać na kolory moich obrazów i malować swoje w „moim duchu”, albo zdecydować się na rozstrzygnięcia awangardowe. Bardzo ciekawy eksperyment.

Oglądaliśmy razem wystawę plakatów jego autorstwa, niektóre z nich, np. do spektaklu „Sofokles” wiszą tuż obok wejścia do toalety. – To bardzo dobre miejsce – przekonuje autor – szczególnie dobre dlatego, że innego nie ma. I tak nie wszystkie udało się w ogóle zmieścić, chociaż budynek Galerii w Pławnej Dolnej jest naprawdę spory.

Kpiarski ton nie może nikogo zmylić – mieszkaniem tej podlśowieckiej wsi jest uznanym artystą, ale też przyjacielem innych twórców, któ-

rzykną ogniem” były bardzo głośne. Metaforycznie, ale i dosłownie.

– Z upływem czasu każdy twórca wypowiada się inaczej, bardziej refleksyjnie – mówi. – Moje plakaty do dwóch filmów (bo nie tylko do „Ediego”, ale i do „Nikifora” z Krystyną Feldman) są tego dowodem. Każdy plakat do filmu czy spektaklu jest dla autora wyzwaniem, bo musi w jednym kadrze zmieścić tę opowieść, a przynajmniej jej sedno. Widzowie oglądają tę historię przez półtorej godziny na scenie czy ekranie.



Najlepiej, gdyby plakat miał odrobinę własnego życia, był także dziełem – bytem, osobnym. To znaczy – osobno też był na tyle wyrazisty, żeby budził zainteresowanie. To nie zawsze jest możliwe, nie zawsze się udaje, ale akurat w przypadku tych dwóch filmów tak się stało. Ludzie, poruszeni filmem zdzierali plakaty ze ścian, żeby je zanieść do siebie, do domu. W przypadku „Ediego” plakat posłużył do produkcji także „około-filmowych” gadżetów – kubków, koszulek, podstawek do naczyń... Nie tylko w Polsce.

W przypadku zlecenia na projekt plakatu autor otrzymuje film, by po jego obejrzeniu zaproponować twórcom i producentom filmu projekt plakatu. Oczywiście – zlecenie nie jest składane „w ciemno” – ludzie filmu spodziewają się (przynajmniej mniej więcej) jaki może być plakat, znają wcześniejsze prace autora. Nierzadko mają też swoje zdanie. – Tak było w przypadku plakatu do „Nikifora”. Uważali, że najlepszym nośnikiem promocji filmu będzie portret odtwórczyni głównej roli, to znaczy Krystyny Feldman, kultowej aktorki, bo to ona zagrała męską główną rolę. I oni mieli trochę racji, i ja. Powstały dwa plakaty, ten mój rozchwytywany był (i jest nadal, bo można go kupić u Autora) dla swojej wyrazistości,

a plakat z K. Feldman – dla niej samej.

Wśród wielu talentów D. Milińskiego jest i taki, który poniekąd był zaskoczeniem dla niego samego. W albumie poetyckim, wydanym przez krakowską Konfraternię Poetów znalazł się jego... wiersz. (!). – To był zbieg okoliczności – wyjaśnia autor – ktoś w drukarni składał album poetycki na temat „Niepodległej”, jakieś rocznicowe wydawnictwo. W tej drukarni były jakieś moje projekty obrazów, czy okładek, zaplać się wiersz, zadzwonił do mnie, czy nie mogą go wykorzystać, bo bardzo nastrój tego wiersza pasuje do ich książki. Potem zwrócił się do mnie ktoś współpracujący z SDM (Starym Dobrym Małżeństwem) o napisanie tekstu do piosenki. ... i tak się to wszystko toczy. Pewnie trochę z przypadku, czy łutu szczęścia, ale mawia się, że na szczęście trzeba zasłużyć, a żeby wygrać coś przypadkiem, trzeba wysłać los, itd., itp.

Sam przypadek, podobnie jak sam talent niczego nie gwarantuje. I niech to sobie wezmą do serca ci, którzy uważają, że świat musi ich dostrzec, bo inaczej byłoby niesprawiedliwe. Świat za nikim nie będzie gonił... – mówi Dariusz Miliński.

Jak go widzą inni? Wizjoner, artysta spełniony, budowniczy – 2015 roku zakończył budowę „Arki Noego, długiej na 40, wysokiej na 15 m budowli, w kształcie nawiązującej do biblijnej łodzi. Wcześniej stworzył Zamek Legend Śląskich oraz średniowieczne miasteczko i Gale-rię, odbudował dom szachulcowy i stworzył w nim Muzeum Prześlęd-zeńców i Wypędzonych.

Sielanka na horyzoncie

Tytuł tej notki jest naraz zapowiedzią i podsumowaniem. Otóż działacze związku działkowców, będący aktywnymi społecznikami w rodzinnych ogrodach działkowych w Gryfowie Śląskim otrzymali w trakcie ostatnich dożynek Odznakę Honorową „Zasłużony dla Rolnictwa” nadaną przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Zaszczycu dostąpili Czesław Głos i Adam Pietruszewski z ROD „Sielanka” oraz Zbigniew Hawrylewicz i Roman Krzemiński z ROD „Na Horyzoncie”. Odznaczenia zapewne dały uhonorowanym sporo zasłużonej satysfakcji, co można określić jako sielankowy nastrój, a jednocześnie można to uznać za prognozę przyszłych sukcesów, jawiących się na horyzoncie. Wróżba sielanki na horyzoncie jest w ten sposób bliska spełnienia. Dla wielu sam pobyt na własnej działce jest sielanką i nie trzeba do tego żadnych odznaczeń, żeby poczuć się znakomicie.



Czy można zakochać się w... traktorze?

Czy można sobie wyobrazić, że pojazd marki „porsche” jedzie z szybkością co najwyżej 11 km/h, co oznacza, że na pokonanie trasy z Jeleniej Góry do Warszawy potrzebowałby co najmniej... dwie doby? To wydaje się niemożliwe, przecież „porsche” kojarzymy z bolidem śmigającym po drogach z szaloną szybkością, pozwalającą na wyprzedzenie każdego pojazdu w oka mgnieniu.

– Ale mówimy o ciągnikach tej marki – koryguje nas Zofia Pyplacz, z Giebułtówka, która wraz z mężem jest właścicielem takiego „porszaka”. Organizatorka trzeciej edycji zlotu traktorów jaka odbyła się w trakcie ostatnich wakacji. Zlot zorganizowano właśnie w Giebułtowie. Zjechało ponad 40 ciągników rolniczych różnych typów, nie tylko z Polski. Były załogi z rozmaitych polskich miast, ale także z Niemiec. Rekordzista przyjechał z Danii. Dotarł na lawecie, ale potem już o własnych siłach wraz z innymi objechał całą okolicę, wzbudzając sensację, szacunek i podziw na rynkach Leśnej, Mirska i Gryfowa.

– Mieszkaliśmy z mężem – wyjaśnia Z. Pyplacz – przez wiele lat w Bawarii. Tam takie zloty są w miarę częste, właściciele starych pojazdów, także traktorów lubią się spotykać, porównywać... Niewiele osób wie, że firma „Porsche” zaczynała właśnie od traktorów i ich pojazd miał być odpowiednikiem „volkswagena” (to znaczy – samochodu dla ludu), taką najprostszą formą maszyny rolniczej. Popularną, bo taną. Produkowano zresztą różne typy, o różnej mocy. Miały 1 do 4 cylindrów, były bardzo popularne rzeczywiście, ale... w latach 60. tych ub. wieku okazało się, że produkcja traktorów może być dobrym interesem, więc pojawiła się konkurencja, a „Porsche” uznało, iż warto zmienić profil produkcji. W roku 1963 ostatni ciągnik tej firmy zjechał z taśmy...

Ten, będący własnością Zofii i Ryszarda jest nieco starszy, „urodził się” w 1957 roku, a wygląda jak absolutna „nówka” i bryluje, nie tyle po salonach, a po drogach. Jest na „rolniczej emeryturze”, już nikt go do ciężkiej pracy w polu nie popędza.



Na zlocie w Giebułtowie pojawiły się traktory bardzo rozmaite – najstarszy miał 80, najmłodszy – 17 lat, wśród załóg traktorowych pojawiły się też kobiety, które przyprowadziły trzy swoje pojazdy.

– Uczucie do traktorów – uśmiecha się Zofia Pyplacz – może być bardzo kosztowne, jak każda miłość. To wciąga i nagle można się zorientować, że traktor jest tłem, a tak naprawdę mówimy o historii. I to nie tylko historii umaszynowania rolnictwa...

Tu warto napomknąć, że hasło „Zosia Traktorzystka” było jednym z bardzo ważnych w propagandzie początków Polski po II wojnie świa-

towej. Plakat, na którym blondynka z rozwiartą fryzurą prowadzi traktor jest jednym z tych kultowych i modelka nie jest postacią abstrakcyjną. To Magdalena Figur – jej zdjęcie wykonano w Wilanowie w 1949 roku, w dodatku na traktorze „imperialistycznym”, bo marki John Deere. Ale w procesie przystosowywania zdjęcia do potrzeb socrealistycznej propagandy kilka drobnych zmian zostało wprowadzonych, lub zniwelowanych. Magdalena była imieniem nie dość swojskim, więc uznano, że w potocznej popularyzacji polska „Zośka” będzie lepsza, a John Deere stracił tożsamość, w zasadzie trzeba się było domyślać po szczegółach rysunku



(zdjęcie było tylko inspiracją), że w ogóle chodzi o traktor. Uzupełniono plakat hasłem: „Młodzieży – na przód do walki o szczęśliwą socjalistyczną wieś polską”, albo – w innej wersji – „Kobiety na traktory!”

To zdjęcie odmieniło losy i karierę życiową Magdaleny Figur, pracowała długo w rolnictwie, kierowała nawet PGR-em (Państwowym Gospodarstwem Rolnym – to przypomnienie dla młodszych Czytelników) i naprawdę kochała traktory. Zmarła w 2007 roku, w wieku 80 lat.

– Dla nas – powiedziała Z. Pyplacz – ten trzeci zlot był chyba ostatnim, jaki organizujemy we dwójkę. – Te trzy edycje były niezwykle przyjemnym doświadczeniem, pozwoliły na zawarcie przemitych kontaktów i znajomości i teraz będziemy chcieli przekazać satysfakcję z organizacji takiego spotkania młodszych fanom czy fankom traktorów. Z pewnością ktoś się znajdzie. My znajdziemy inne pole dla swojej aktywności.

Pierwszy polski traktor zbudowany został najprawdopodobniej w Warszawie, produkowano tam model Ursus 1921/22, produkcję zakończono w roku 1927. Określenia „traktor” i „ciągnik” można używać zamiennie, choć nie w każdym przypadku będzie to precyzyjne (traktor również pcha pojazd, które nie mają własnego napędu). A nazwa pochodzi z łaciny od słowa „trahere” – pchać.

Kalendarz na monitorze

W końcu listopada, jak zazwyczaj, kolejna edycja kalendarza Partnerstwa Izerskiego trafiła do rąk mieszkańców, do siedzib firm i instytucji. Zarząd LGD dokłada wszelkich starań, by każdy z kalendarzy był nieco inny, od poprzednich.

Były więc lata, że wszystkie gminy miały po swoim jednym zdjęciu, były i takie, że każda z gmin reprezentowana była przez reprint starej pocztówki, wydrukowany na wspólnym kalendarzu. Były edycje ilustrowane jednym zdjęciem, czerem, albo jeszcze inaczej, były kościoły wszystkich gmin, zamki i pałace, było – wydawać by się mogło – wszystko.

Tegoroczny kalendarz jest jednak znowu trochę inny. Zdjęcia będące jego ilustracjami zostały tak dobrane, żeby mogły stanowić „tapetę” na

ekran monitora naszego komputera. Wszystkie one mają pełną gwarancję, że zostały wykonane na obszarze Pogórza, a każdy z nas może mieć wybrane na swoim monitorze, bowiem można je ściągnąć ze stron LGD „Partnerstwo Izerskie”. Zostały tak właśnie dobrane i przygotowane.

Zdjęć jest dziewięć, można je będzie przez cały rok wymieniać, a jeśli komuś będzie się wydawało, że chciałby jeszcze jakieś inne, to zapewniamy, że po telefonie do biura LGD zapewnimy „świeżą dostawę”, kolejnych zdjęć izerskich, żeby nikomu, kto jest tym zainteresowany, tapeta nie mogła się znudzić.

Życzymy roku pełnego nadziei, która z reguły kojarzona jest z kolorem zielonym, i taki jest też nasz kalendarz na 2024 rok.

Pogórze Izerskie w obiektywie



2		0		2		4	
Styczeń		Luty		Marzec		Kwiecień	
Pn	1	Pn	1	Pn	1	Pn	1
Wt	2	Wt	2	Wt	2	Wt	2
Śr	3	Śr	3	Śr	3	Śr	3
Cz	4	Cz	4	Cz	4	Cz	4
Pi	5	Pi	5	Pi	5	Pi	5
So	6	So	6	So	6	So	6
Nd	7	Nd	7	Nd	7	Nd	7
1	8	1	8	1	8	1	8
2	9	2	9	2	9	2	9
3	10	3	10	3	10	3	10
4	11	4	11	4	11	4	11
5	12	5	12	5	12	5	12
6	13	6	13	6	13	6	13
7	14	7	14	7	14	7	14
8	15	8	15	8	15	8	15
9	16	9	16	9	16	9	16
10	17	10	17	10	17	10	17
11	18	11	18	11	18	11	18
12	19	12	19	12	19	12	19
13	20	13	20	13	20	13	20
14	21	14	21	14	21	14	21
15	22	15	22	15	22	15	22
16	23	16	23	16	23	16	23
17	24	17	24	17	24	17	24
18	25	18	25	18	25	18	25
19	26	19	26	19	26	19	26
20	27	20	27	20	27	20	27
21	28	21	28	21	27	21	27
22	29	22	29	22	28	22	28
23	30	23	30	23	29	23	29
24	31	24	31	24	30	24	30
25		25		25	31	25	31
26		26		26		26	
27		27		27		27	
28		28		28		28	
29		29		29		29	
30		30		30		30	
31		31		31		31	



Cis z Bystrzycy

Wprawdzie najslynniejszym cistem na terenie Partnerstwa Izerskiego i w całej Polsce jest cis rosnący w Henrykowie Lubańskim, ale to nie jest jedyne drzewo tego gatunku, które ma imponujący życiorys. Na terenie gminy Wleń są też inne takie drzewa, także leciwe, które potrzebują ludzkiego wsparcia, żeby przetrwać kolejne dekady. Cis przy pałacu Lenno też ma swoje lata, niemniej pozostaje w niezłej kondycji, nieco gorzej jest z cistem w Pilchowicach, ale także trwa dzielnie. Szybkiej pomocy wymagał cis w Bystrzycy, tyle że nie chodziło o ratunek dendrologiczny, a o jego wyeksponowanie, bo rośnie w miejscu, w którym nietrudno go przegapić. Ale to się zmieniło. . Dziś otoczony ozdobnym płotem, na działce posadowione też dwie ławki, żeby odwiedzający wiekowe drzewo mogli spokojnie odsapnąć. O tym, że ten cis jest ważny dla lokalnej społeczności najlepiej świadczy fakt, iż poza środkami pozyskanymi z centralnego budżetu wiejska społeczność dołożyła się do sfinansowania uporządkowania terenu z funduszu sołeckiego.

A sprawa jest nie byle jaka, bowiem bystrzycki cis jest drugim co do wieku drzewem rosnącym na terenie Polski. Prawdopodobny wiek henrykowskiego drzewa to ok. 1300 lat, ten z Bystrzycy ma wedle szacunków zdecydowanie mniej, bo „tylko”, bo ok. 820 lat. Mierzy ok. 15 m wysokości i 360 cm w obwodzie w tzw. pierśnicy. Warto się nim pochwalić.





Efekty działań PROW 2014-2020 na terenie LGD Partnerstwo Izerskie

Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania– Partnerstwo Izerskie prezentuje kolejne efekty realizacji operacji z zakresu działań:



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich Europa inwestująca w obszary wiejskie

PODEJMOWANIE DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ

Rozmowy przy studni

Wiertnictwo ma dobrą przyszłość

– Nie ma już takich studni, jak ta z wiersza – uśmiecha się Janusz Bałut. Siedzimy na pługu jednej z jego maszyn, rozmawiając o zadaniu, które zostało niepoetycko określone w dokumentach jako „uruchomienie innowacyjnej działalności świadczącej usługi odwiertów pionowych”. Współczesne studnie w niczym już nie przypominają tych z kołowrotem, a jeszcze mniej – tych z żurawiem. Takie studnie pozostały już tylko na obrazach, starych zdjęciach, w wier-

*Spotkajmy się kiedyś studni
takiej zwykłej z kołowrotem
woda z niej będzie chłodna
w świat uwierzmy z powrotem*

Studnia zawsze pobudzała wyobraźnię, kusila możliwością budowania metafor, powoływano się na nią w wielu literackich tekstach, co z pewnością jest ewenementem, szczególnie z dzisiejszego punktu



*Jeśli osioł zagląda do
studni, to nie studni wina,
że nie odbija konia*

niestety kosztowne. Ograniczają do minimum możliwość chybionej inwestycji. Czasami pod warstwą ziemi i żwiru, czy piasku zalega skała, odcinająca nas od wody. To też jest przeszkoda do pokonania, ale metoda rozkruszania skały na dużych głębokościach jest kosztowna i trzeba dokładnie policzyć efektywność inwestycji w długim okresie.

– Dla kogo Pan kopie/wierci studnie?

– Dla każdego, kto taką pracę zleci, ale na serio – nowoczesnych studni potrzebują głównie, niemal wyłącznie mieszkańcy wsi. Ale nie tylko do czerpania wody pitnej, bardzo często do zraszania pól, do opryskiwania. Duży rolnicy chcą się zabezpieczać przed suszami. Wprawdzie instalacje są drogie, jednak gdy policzy się nakłady jakie trzeba realizować przy siewach, czy nawożeniu, to wtedy proporcja kosztów i zysków wygląda już inaczej. Trzeba także doliczyć po stronie zysków także fakt, że wydatek na instalacje będzie przynosił korzyści przez wiele lat, więc wprawdzie wydatki należy ponieść od razu, a zyski liczyć przez kolejne kilkanaście – kilkadziesiąt lat, ale to już sprawa inwestorów. Ja skupiam się na wierceniu.

*Noc posępna w dziedzinach myśli mojej gości,
a dusza moja leży na dnie ciemnej studni,
niby upadła gwiazda, łza nieskończoności...*

nawet tekstów współczesnych (piosenek) przypominamy sobie przy okazji rozmowy o firmie wiertniczej. Rzeczywiście jednak – w pędzącym świecie zwirowanych technologii, oszołomionych własnym tempem liczy się woda. Studnia jest tylko narzędziem, które powinno być jak najsprawniejsze – musi dawać możliwie w krótkim czasie możliwie wiele wody o możliwie najlepszych parametrach. I tyle.

– Czym się różni współczesna studnia od tych starych?

– W zasadzie poza tym, że pomaga czerpać wodę, to prawie wszystkim – odpowiada J. Bałut. – Po pierwsze – nikt się w niej nie utopi, bo nawet zagładając doń nie widzimy tzw. lustra wody. Woda bowiem płynie w zamkniętych instalacjach będących częścią studni. Po drugie – stare studnie pobierały wodę od spodu, z dna. Nowe – z boku. Dlatego też wiercimy głębiej, z reguły ok. 5 m głębiej, niż poziom, w którym pojawia się woda. Po trzecie – a to już jest rewolucja ostatnich lat – wiercimy nie tylko dla pozyskiwania wody, ale też do układania instalacji m.in. pomp ciepła. Wtedy najlepiej byłoby dowiercić się do poziomu „minus 200 m”, bo pobierana z takiego poziomu pozwala ogrzać spory dom jednorodzinny, nawet przy bardzo niskich temperaturach powietrza. Płytsze wiercenia tego nie gwarantują. Gdy temperatura opada poniżej minus 10 st. C, zaczyna się niedogrzanie. Właśnie wizja ogrzewania geotermalnego sprawiła, że – szczególnie na Zachodzie – wiertnictwo przeżywa renesans. Miałem okazję pracować w tamtejszym wiertnictwie, oglądać tamte techniki pracy. Kiedy wróciłem do Polski postanowiłem podjąć tę działalność, choć warunki zewnętrzne w naszym kraju są zdecydowanie trudniejsze dla inwestujących w naturalne ciepło. Na Zachodzie subwencje do budowy takich instalacji są obecnie zdecydowanie wyższe, stąd wielu ludzi stać na finansowanie ekologii i... swojej wygody. Ale i Polsce idea OZE przebija się do świadomości, więc mam nadzieję, że w tym względzie dogonimy innych. M.in. dlatego postanowiłem skupić się na wiertnictwie, ale też wprowadzić takie drobne nowinki, które jeszcze nie są popularne w działalności innych firm.

Jakie?

– Najogólniej, żeby nie wchodzić w skomplikowane treści, kiedy wiercę studnię, to wprowadzam taki rodzaj filtracji, który pozwala gwarantować czystą wodę. To „na teraz”, bo chcę kontynuować proces poszukiwania nowych rozwiązań.

– Czy w każdym miejscu można kopać, czy wiercić studnię?

– W zasadzie tak, ale... warto zadać sobie inne pytanie: czy w każdym miejscu znajdziemy wodę w takiej ilości i na takiej głębokości, by ta inwestycja nam się opłacała? Istnieją urządzenia, będące rodzajem radaru, który pozwala określić chłonność i przepuszczalność gruntu do poziomu ok. „minus 100 m”,



*Żaba ze studni nie wie,
co to ocean*

– Czy można mówić o „przeciętnej głębokości” współczesnej studni?

– Absolutnie nie. W rejonie Gościszowa może to być ok. 4–5 m, ale też zależy w której części wsi. W rejonie Gryfowa Śląskiego możemy już mówić o ok. 30 m. W dodatku efektywność poboru wody ze studni zależy od tego, czy wiercimy w żwirze, czy w piasku, albo i innych rodzajach gruntu – każda studnia, wbrew pozorom, jest nieco inna. Może dlatego działalność wiertnicza jest – poza wszystkim – bardzo ciekawym zajęciem.

Studnie – jakie są?

Głębinowa – wiercona, jak w powyższym tekście. Kręgową – kopaną – „stary model”, gdy mówimy o dziurze w ziemi, okolonej na całej niemal głębokości betonowymi kręgami. Jest też studnia „abisyńska” – wiercona. Od głębinowej różni się tym, że wodę czerpiemy z niej z tzw. warstw zaskórnych, położonych płycej. To oznacza, że może być zanieczyszczona. Wprawdzie jej wykonanie wymaga mniejszych nakładów pracy i pieniędzy, ale czerpanie z niej wody spożywczej może być ryzykowne. Fachowcy mówią też o studni artestyjskiej. To oznacza, że woda w głębszych warstwach wodonośnych tryska pod własnym ciśnieniem, wypływa z głębi samoczynnie,



*Serce przypomina
głęboką studnię – nikt
nie wie, co jest na dnie.
Można sobie tylko wyobrazić na podstawie
tego, co czasami wypływa na powierzchnię*

widzenia, kiedy studnia to jest po prostu „instalacja służąca poborowi wody”.

Trudno jednak uciec od romantycznych cytatów, jeśli w literaturze zachowało się tak wiele aforyzmów, refleksji na temat studni, świadczących o randze tego urządzenia w dawnych (i nie tylko) czasach. Niektóre z tych myśli, (a dotyczy to

*Kochaj mnie, kochaj
mnie nieprzytomnie,
jak zapalniczka płomień,
jak sucha studnia wodę
– to „Perfect”*

szach, filmach z epoki... Można żałować, że nie zdołają już krajobrazu, ale – mówiąc wprost „liczy się woda, nie studnia”. Studnia powinna być prostym instrumentem dostarczającym sprawnie zdrową wodę.





Koń, jaki jest (NIE) każdy widzi

Szczęśliwa siódemka w Orłowicach, czyli opowieść o spełnionym marzeniu

– W tym miejscu, w Orłowicach, udaje mi się stworzyć takie warunki, by ludzie, przede wszystkim dzieci, ale i dorośli, których fascynują konie i chcą zrozumieć te zwierzęta, mogli się tu rozwijać – powiedziała Monika Chwaszcz. – Mówię „udaje się”, a nie „udało”, bo to proces, każdego dnia od nowa. Staram się, by dać małym jeźdźcom to czego ja, jako dziecko zafascynowane końmi z różnych powodów nie dostawałam, czyli indywidualnego podjęcia i czasu na rozmowę z trenerem. Dlatego to nie jest rodzaj typowej stajni rekreacyjnej, gdzie dzieci jeżdżą w zastępie pięciu koni. Staram się stworzyć przestrzeń pracy indywidualnej dla konia, jeźdźca i mnie jako instruktora. W takich warunkach wszystkim przyjemniej mija czas. Raptem trzy konie są moje, pozostałe cztery mają status „gości końskiego pensjonatu”. I nie chciałabym, żeby koni do jazdy było więcej, bo to wprawdzie zapewne poprawiłoby dochodowość, ale zmniejszyło szansę indywidualnej opieki nad jeźdźcą. A to stanowi o jakości wykonywanej usługi.

Monika Chwaszcz nie jest absolwentką weterynarii, czy uniwersytetu rolniczego, czego można by się było spodziewać. Pedagog, animator kultury, pasjonatka teatru? – Skąd więc konie?

– One od dzieciństwa były w moim życiu ważne – pada odpowiedź. – Oczywiście na początku było to łakome wręcz obserwowanie tych zwierząt. Potem jeleniogórskie liceum, studia w Łodzi, praca w Warszawie, a mimo to marzenia o tym, że moja praca będzie związana z końmi przetrwały próbę czasu. Po kilkunastu latach wróciłam na Pogórze Izerskie, a że pochodzę ze Świeradowa-Zdroju, to Orłowice stały się naturalnym wyborem miejsca. Kiedy wróciłam z Warszawy, to dochodziły mnie słuchy, że „wróciła to znaczy, że jej się nie udało w Warszawie”. A ja wróciłam tu właśnie dlatego, że będąc w Warszawie doceniłam to miejsce i postanowiłam wrócić. Od dwóch lat istnieje tu stajnia. Je-



stem instruktorem szkolenia podstawowego Polskiego Związku Jeździeckiego, uczyłam jazdy konnej będąc jeszcze w Warszawie, dwa dni w tygodniu w ośrodku Aromer. Zyskałam tam doświadczenie od wyższych stażem bardzo dobrych trenerów, w połączeniu z kursem PZJ i uzupełnione o studia pedagogiczne pomaga mi zapalić w dzieciach isierkę pasji do koni i jazdy konnej. Nie każdy zawodnik, nawet najwyższego szczebla, będzie dobrym trenerem dla początkujących. Dla mnie trenowanie dzieci to jest zupełnie inny rodzaj relacji, dziecko jest równie łatwo „zapalić” jak i „zgasić”, to praca na bardzo delikatnej osobie.

Do Orłowic przyjeżdżają różne dzieci. I takie, które nie śpią po nocach, bo marzą o jeździe na grzbiecie konia, i takie (tych jest mniej), dla których jazda konna jest jedną z rozrywek. Niektóre z nich naprawdę przekonają się do koni i same rozumieją, że jazda na koniu to tylko część tej „końskiej rzeczywistości”. Inne zrezygnują, bo im się z końmi nie ułoży. Ważne jest dla mnie, żeby uczestnik zajęć wiedział, że ma być to przyjemność. Nie trzeba od razu myśleć o zawodach, odznakach – marzeniem może być wyjazd w teren.

Budowanie relacji ludzi i zwierząt powinno być sprawą bardzo indywidualną, bo tylko wówczas – zdaniem M. Chwaszcz – można spodziewać się dobrych skutków. Nie ma – mówi

– większego sensu, przynajmniej na początku, jazdy w trzy konie. W takiej konfiguracji pierwszy nadaje ton i coś tam się dzieje, a ten trzeci po prostu sunie za drugim ogonem, bezpiecznie, ale trochę bezmyślnie. Tak jest po prostu wygodnie.

Konie bowiem są zwierzętami, które zawsze będą próbować, kto z pary „człowiek-zwierzę” jest kierownikiem. I wiek jeźdźcy nie jest w tym przypadku istotny. Koń potrzebuje kilka minut, żeby „rozgryźć” jeźdźca i – jeśli uzna, że ma przewagę – to z jazdy nici. Z drugiej strony – trzeba umieć od konia wymagać, ale nie wolno terroryzować zwierzęcia, to



mógł odgryźć nogę (może rzeczywiście potrafiłby?), ale w relacji z dziećmi jest wielką puszystą zabawką, kot... I stajnia, to nie tylko jazdy, ale też „nocowanie na sianie”, co dla dzieci jest niezwykłym magnesem i nie mogą się tylko pogodzić z tym, że nie zdarza się tak często, jakby chciały.

Taka stajnia, razem z przyległościami, z widokiem na Góry Izerskie, jest miejscem wpisanym w krajobraz.

Tytułowe powiedzenie o tym, że każdy widzi, jaki jest koń powtarzane bywa od prawie 300 lat. Jego autorem jest opisujący przyrodę – florę i faunę – Benedykt Chmielowski. Napisał „Nowe Ateny”, czyli pierwszą polską, encyklopedię powszechną. A że rysunki do książek były wówczas bardzo drogie, więc w przypadku popularniejszych zwierząt czy roślin zastępowane je opisem.

Nonszalancki wobec czytelników, ze współczesnego punktu widzenia sposób zapisu treści był tylko niezdatną obroną przed koniecznością dużych wydatków na grafikę. Chociaż... autorzy książek nierzadko traktowali czytelników po macoszemu. Dla przykładu – wspomniane „Nowe Ateny” miały przydługi podtytuł: „Akademia wszelkich sciencyi pełna na różne tytuły jak na classes podzielona, mądrym dla memoryjału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melanolikom dla rozrywki erygowana”. Ale obraz konia z rysunku to tylko cząstka, i to nieduża, wiedzy o koniu.

rodzaj delikatnej równowagi w takiej relacji. Trzeba nauczyć się być wymagającym, a zarazem delikatnym. Dlatego konie wykorzystywane są nie tylko do hipoterapii, ale też treningu przywództwa dla Liderów czy Coachów.

Koń jest (albo przynajmniej – bywa – terapeutą), a czasami antydepresantem. I nie chodzi tu o magię hipoterapii, bo to zupełnie inny obszar, a o bliskość ze zwierzęciem. Może część zagadki tkwi w tym, że temperatura końskiego ciała jest naturalnie wyższa niż ludzka? To ciepło, którym emanuje ma co najmniej dwa znaczenia. Fizyczne i psychiczne. I liczy się zaufanie, które musi być obustronne.

– A w przypadku moich zajęć – uściśla M. Chwaszcz – trójstronne, bo i ja muszę wiedzieć, jakie kłopoty z koniem ma mały jeździec, jeśli są jakieś problemy. Często powtarzam początkującym: – Ja znam tego kuca, a ciebie nie znam, więc musisz mi powiedzieć, co się dzieje? Zaufanie budowane pomiędzy jeźdźcą i instruktorem jest bardzo ważne. Tylko wtedy, gdy dziecko ufa, to przyzna się, że: „dzisiaj dużo było biegania na wf i nie mam siły”, czy po tym jak widzę, że dziecko jest nieobecne i zapytam co się dzieje, to powie: „pokłóciłam się z moją przyjaciółką

w szkole” – wtedy wiem, że nasza jazda musi obrać inny kierunek niż ten, który planowałam. Ważne, żeby dać dziecku przestrzeń na to, że może się przyznać do swoich emocji i wtedy mówię „to dzisiaj jeździmy na luzie, co chciałabyś zrobić” – na co mogę sobie pozwolić tylko w trybie zajęć indywidualnych. Konie to zwierzęta, które uczą się szybko zarówno tych dobrych i złych rzeczy. Lubią ludzi, ale ludzie muszą zrozumieć, że dla konia jazda, to praca. A kto lubi pracować, jeśli nie musi?

Stajnia Horyzont, to nie tylko konie, chociaż one są najważniejsze. To wielki pies, który wygląda, jakby





Tlen – to znaczy życie

„Kapsuła młodości” służy zdrowym sportowcom, a pomaga chorym i osłabionym

Co wspólnego ma ze sobą uporczywy ból głowy, trądzik, autyzm, ból kolana i sen? Na tak postawione pytanie wielu może po prostu się roześmiać, bo jest dla nich oczywiste, że nic. Ale to nieprawda. Zarówno dla wymienionych dolegliwości, jak i dziecięcych innych wspólną sprawą jest dobroczynne działanie tlenu. Zdrowi ludzie, pracujący w przeciętnych warunkach i bez zwiększonego wysiłku fizycznego nie zwracają specjalnej uwagi na to, że oddychają. A przecież jest to podstawa życia. Gdy poczują się gorzej, z różnych powodów może ich kondycję wesprze tlen w specjalnej formule. A to zapewnia komora hiperbaryczna – urządzenie, którym człowiek oddycha przez kilkadziesiąt minut niemal czystym tlenem, w dodatku przy ciśnieniu zdecydowanie wyższym, niż atmosferyczne, to znaczy ok. 1,5 atm.

– Mogę jednym tchem – powiedział nam Marek Mróz, inicjator użytkowania tego urządzenia w podgorzeleckim Kozłynie – wymienić inne użyteczne działania i korzystny wpływ komory. Choćby regenerację wątroby, wpływ na odbudowę mięśnia sercowego i – przede wszystkim – ogólną poprawę kondycji. Fizycznej i psychicznej, bo komórki nasyczone tlenem po prostu pracują wydajniej.

Dlatego te komory są popularne w środowiskach osób które z różnych powodów wykonują zajęcia wymagające sporego wysiłku fizycznego, choćby sportowców, tancerzy, modeli, itp. A w przypadku modelek i modeli sprawa jest tym bardziej interesująca, że intensywne natlenianie komórek organizmu ludzkiego poprawia stan skóry, która staje się jedwabista. To zachęca nie tylko profesjonalne modelki, ale też wiele osób aspirujących do takich zajęć. Chcą niebagatelnym detalem urody, jakim jest skóra, wyróżnić się na tle innych.

– Tlen, to w swoim rodzaju kwintesencja życia – konkluduje M. Mróz – dlatego intensywne natlenianie wpływa na jakość i komfort życia. Niektórzy – z pewną przesadą mówią o komorze hiperbarycznej – „kapsuła młodości”. Przekonują, że korzystanie z komory to rodzaj naturalnego, dozwolonego prawem dopingu. Pewnie tak właśnie jest. Z pewnością jednak można powiedzieć, że nie znamy jeszcze wszystkich dobrych skutków oddziaływania tlenu podawanego w komorze na zdrowie i samopoczucie człowieka. Dla mnie samego nie miałym zaskoczeniem było, że pomaga ona w niwelowaniu niektórych konsekwencji autyzmu. A przecież nie powinno to dziwić, bo to dolegli-



wość, której m.in. przyczyną jest stan płynu mózgowo-rdzeniowego. A jeśli będzie on dotleniony – właśnie przez pobyt w komorze – to wesprze proces terapii. Tlen, a właściwie jego niedostatek, jest przyczyną wielu dolegliwości.

Właściciel firmy podkreśla, że „sesja tlenowa” w komorze nie jest leczeniem. Leczeniem zajmują się lekarze. Ale... Dotlenienie organizmu wspiera

proces poprawy kondycji, a sami lekarze... coraz częściej zaglądają do gabinetu i korzystają z komory. Chcą się przekonać na sobie, „czy to działa?”

– Szanuję tę ciekawość medyków – mówi M. Mróz. – To moim zdaniem jest naturalne i cenne. Ciekawość nowych technik wpływania na poprawę ludzkiego zdrowia może być i zapewne jest nader pomocna w procesie leczenia, ordynowanym przez lekarzy.

Prawdę mówiąc ja sam też postanowiłem na samym sobie sprawdzić skuteczność natlenienia w komorze. Ze względu na rozmaite okoliczności dokuczały mi bóle w nodze. Zaordynowałem sam sobie kilka sesji i... ból już jest już tylko lekko odczuwalny. Kiedyś trudno było wytrzymać, dziś od czasu do czasu poczuć, że „coś cmi”, ale to już nieporównanie inna skala.

Powiedz kotku, co masz w środku

Można stalową belkę zobaczyć od środka i nic się jej nie stanie

Można powiedzieć tak: malutki rozmiarami komputer, kilka metalowych prętów, sporo elektroniki i to wszystko umiejętnie połączone oraz sterowane pozwala powiedzieć, jak drobinki metalu układają się w metalowej belce, nawet o przekroju kilkudziesięciu centymetrów. I na podstawie wyświetlanego na monitorze obrazu można precyzyjnie wywnioskować, czy cała konstrukcja, choćby ważyła kilkadziesiąt ton i mierzyła setki metrów, wytrzyma przewidywane dla niej obciążenia, czy też nie. I nie chodzi tu tylko o same grube blachy, czy potężne belki, ale też można sprawdzić, czy gęstość spoiny – efektu pracy spawacza – jest właściwa, i czy przypadkiem nie jest to najślabszy element mostu, wieży. Te

wszystkie wątpliwości, które dawniej trzeba było rozstrzygać w sporej części intuicyjnie są obecnie wyjaśniane w ułamku sekundy i każdy może najmniejszą drobinę metalu zobaczyć na monitorze.

– Technologia analiz spawalniczych zmienia się ostatnio bardzo dynamicznie – powiedział nam założyciel firmy Łukasz Wróblewski z Proszówki. – Wprawdzie już wcześniej można było badać spawy (a precyzyjnie – spoiny), ale metody nie były doskonałe. Jedną głowicą z przetwornikiem takiej szansy nie dawała. Teraz pracują dwie i zagrożenie niedokładnymi pomiarami zostało zniwelowane.

Obserwowaliśmy składanie urządzenia i przygotowanie go do pracy.

Komuś, kto jest zafascynowany spawalnictwem zajmuje to kilka chwil. W tym czasie nie tylko montuje mechanizmy, ale też zapewnia elektroniczną „komunikację” wszystkich podzespołów.

– To działa bardzo podobnie do znanego wszystkim USG – wyjaśnia Ł. Wróblewski. – Tyle, że fale USG m.in. do badania ciąży rozchodzą się w ciele kobiety, a ciała człowieka, składającego się głównie z wody, ma niską gęstość. Z kolei gęstość stali jest nieporównana, stąd rozwiązania fizyki, stosowane w tym urządzeniu muszą to uwzględnić. Ale podobieństwo do USG jest uderzające. Nawet to, że operator pokrywa metal specjalnym żelem, żeby ułatwić badanie. – Skład tego żelu – dodaje nasz rozmówca – został tak skomponowany, żeby jego oddziaływanie na powierzchnię metalu nie groziło nawet mikroślądem korozji.

– Tu widzimy – pada wyjaśnienie podczas pokazowego badania jakości spoiny – skupisko pęcherzyków, przyklejanie brzegowe... To oznacza, że nie ma ciągłości spawu. Ale



być może nie jest to zagrożenie dla stabilności planowanej konstrukcji. Tę wątpliwość wyjaśni raport, jaki powstaje każdorazowo po badaniu spoin, skonfrontowany z normami, jakie obowiązują w technologii spawalnictwa.

Słuchamy uważnie, i chociaż rozumiemy każde słowo z osobna, to trudno skondensowaną dawkę specjalistycznej wiedzy przyswoić w tak krótkim – jak pokaz – czasie. Słyszymy o możliwości mapowania korozji, specjalistycznych pomiarach grubości, badaniu blachy na rozwarstwienie...

Na wyobraźnię laika działa z pewnością informacja, że urządzeniem, które w zasadzie mieści się bez trudu w malutkiej walizeczce, ze skanerami, jakie można zamknąć w jednej dłoni (fakt, że kosztującymi ponad 1,5 tys. USD) można poddać badaniu przedmiot o przekroju 2.000 mm – czyli dwóch metrów! Podobnym, o trochę innej konstrukcji, można zbadać wytrzymałość spoin rur, co szczególnie w przypadku gazowniczych może być istotne, bowiem zapobiega potencjalnym wybuchom sieci.

– Nasze urządzenia już są wykorzystywane w praktyce – mówi



właściciel firmy. – Nawet na Pogórzu Izerskim. Są firmy, które zlecają nam badania swoich wyrobów, bo takie certyfikaty uspokajają ich klientów, będąc zewnętrzną gwarancją jakości konstrukcji. Ale... nie tylko metalowych – jesteśmy bowiem w stanie także badać szkło, beton, plastik, a nie tylko metale, choć obecnie to cieszy się największą popularnością.

Na marginesie tego interesującego pokazu nasza nas pewna refleksja, dotycząca zresztą także instalacji istniejącej na Pogórzu Izerskim, nota bene – jednej z najsłynniejszych tu-tejszych konstrukcji, to znaczy – MOSTU NAD ZALEWEM W PILCHOWICACH.

Odbyło się już kilkanaście różnych spotkań, zebrań, dyskusji, w trakcie których zwolennicy i przeciwnicy zachowania mostu, jako okazałego zabytku techniki spirali się ze sobą w sprawie – czy most jest zzarty rdzą i grozi zawaleniem, czy też jest w świetnej kondycji i może służyć nadal przez lata? Jedni przekonują, że się załamie pod pociągami, a drudzy twierdzą, że jego remont to kwestia relatywnie niewielkich pieniędzy.



Może i jedni, i drudzy zlecą firmie z Proszówki przeprowadzenie analizy metalowej konstrukcji i będziemy już pewni, kto ma rację. A gdyby okazało się, że most jest wciąż w świetnej formie, wtedy już nie będzie argu-

mentów przeciwko przywróceniu ruchu pociągów pasażerskich na trasie Kolei Doliny Bobru. Izerska firma przysłużyłaby się w ten sposób do rozwoju izerskiego kolejnictwa i izerskiej turystyki.



ROZWÓJ DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ

Słońce pomoże



Okazała hala, przy drodze z Gryfowa Śląskiego do Lwówka Śląskiego swoją efektowną, nowoczesną elewacją przyciągała wzrok już od lat, ale ostatnio... „spuchła” o ponad 600 m kwadr, nowej powierzchni. Najważ-

niejszej zmiany jednak nie można zobaczyć z wysokości chodnika, czy parkingu. To zespół paneli fotowoltaicznych na dachu. Jak się sprawdza ta nowa inwestycja?

– Świetnie – mówi Marek Bigaj

właściciel firmy Mark Plast – Uży-skujemy z tej instalacji sporo czystej energii, ok. 50 kW. Zużywamy na swoje potrzeby ponad dwukrotnie mniej, więc w konsekwencji przez siedem miesięcy nie musimy ponosić kosztów związanych z jej zakupem. Właśnie ten element innowacyjności był rozstrzygający przy pozyskaniu środków na inwestycję.

Czasy są trudne dla podmiotów gospodarczych, pracujących nie na potrzeby indywidualnego odbiorcy, a ukierunkowanych na inwestorów. Trudne z kilku powodów. Dostrze-galnie mniejsza stabilność stóp procentowych, obawy inwestorów przed finansowaniem projektów o dłuższym czasie zwrotu nakładów i wzrost kosztów energii „robią swoje”. Firma produkuje maszyny do galwanizacji, a ten proces technologiczny jest istnym pożeraczem prądu, więc właściciele zakładów galwanicznych dłużej zastanawiają się nad zakupem nowych linii i urządzeń. A my musimy inwestować w rozwój naszej firmy, bo wymagania rynku, wprawdzie przeciętnie mniejsze, niż kilka lat temu, są najczęściej mocno sprofilowane, więc

musimy dysponować powierzchniami umożliwiającymi przyjmowanie zleceń. Okres pandemii, teraz wojny w Ukrainie nie sprzyja ryzyku, więc każdy nowy wydatek powinien być bardzo precyzyjnie przemyślany i policzony.

Szczęśliwie usytuowanie budynku i konstrukcja dachu sprawiają, że słońce operuje w tym miejscu właściwie przez cały dzień, więc produkcja „zielonej” energii jest niezakłócona.

Kontakty międzynarodowe pozwalają otworzyć się na bardziej stabilne rynki zachodnie, co pozwala na względny spokój przy planowaniu realizacji istniejących i zdobywaniu nowych zamówień. Nowa część hali jest właśnie potrzebna po to, by sprostać oczekiwaniom klientów, więc nawet wizja konieczności zatrudnienia kolejnych pracowników nie jest obciążona ryzykiem, choć to generuje nowe koszty.



INFRASTRUKTURA TURYSTYCZNA I REKREACYJNA

Wszystko dla zdrowia

W samym centrum Jeżowa Sudeckiego, przy ul. – nomen omen – Sportowej powstało oryginalne miejsce zabaw dla dzieci i młodzieży. Parki linowej są ostatnio w modzie, powstają jednak głównie w miejscowościach turystycznych, jako jedna z ofert w paletę kurortów, jak m.in.

w Świeradowie-Zdroju, o którym pisaliśmy w poprzednim wydaniu „Ech Izerskich”. Ale wtedy są dostępne raczej dla niezbyt licznych, w dodatku zasadą jest odpłatna możliwość korzystania z urządzeń.

– W naszym przypadku jest inaczej – powiedziała nam Joanna Lochert. –

Ten projekt, na który pozyskaliśmy prawie 100 tys. zł, to zespół trzech urządzeń, kolejki tyrolskiej, stożka linowego oraz trzech trampolin, stanowiących jeden kompleks, ze względu na fakt, iż są ze sobą połączone. Z oczywistych powodów latem ten nasz „park” jest wykorzystywany bardzo intensywnie. Ma dobrą lokalizację nie tylko z tego powodu, że zlokalizowany jest w centrum wsi, ale także dlatego, że stąd krok do szatni klubu „Lotnik”, w którym trenują także młodzi zawodnicy zainteresowani zabawami w parku linowym.

Kwota 91 tys. zł, bo tyle kosztowały urządzenia „parku”, jest tylko częścią poniesionych kosztów. Z innych źródeł sfinansowano przygotowanie terenu, ogrodzenie placu, itp., ale patrząc na to, jaką popularnością cieszy się to miejsce, nikt nie żałuje wysiłku przy jego powstaniu.

W szkole w Jeżowie Sudeckim uczy się prawie 300 osób, więc z pewnością chętnych do – bezpiecznego, co trzeba podkreślić – szaleństwa na linach z pewnością nie zabraknie.





Plac zabaw w Mroczkowicach

Kiedy zajechaliśmy na plac zabaw w Mroczkowicach pod Mirskiem poza urządzeniami, które dla takich placów są typowe, zobaczyliśmy też różne zabawki „domowe” – traktory, wózki, itp.

– Ktoś zapomniał wziąć to do domu? – zapytaliśmy inicjatorkę powstania tego placu, radną gminy Mirsk, Martę Pazowską.

– Nie – odpowiedziała. – Po prostu

szczegółów, potem fachowcy to rozliczą i... już.

– W naszym przypadku to się stało inaczej – wyjaśnia M. Pazowska – a od pomysłu do otwarcia placu minęło kilka ładnych (ale trudnych) lat. Po pierwsze – teren nie był gminny, więc trzeba było porozumieć się z agencją rolną. Po drugie – źródeł finansowania było kilka, niektóre zakupy sprzętu były dokonywane

le podchodziły do naszych kolejnych pomysłów – to by się pewnie nie udało. I podkreślić należy, że cała sprawa zaczęła się od chwili, gdy sołtysem był Dariusz Żołopa, którego starania dały sprawie początek. Dlatego wielu ludzi może powiedzieć zgodnie z prawdą, że: „to jest nasz plac, nasza prac dla naszych dzieci”.

Jeśli jednak ktoś mógłby pomyśleć, że plac jest skończony i teraz przyszedł czas beztrudnej zabawy, to jest w błędzie.

– To czas zabawy dzieci – wyjaśnia M. Pazowska – a dorośli mają jeszcze sporo spraw do załatwienia, bo i miejsca na samym placu jest sporo, więc wypadałoby je wypełnić innymi urządzeniami, może dla starszych dzieci, czy młodzieży z hulajnogami i rowerami. Musimy też doprowadzić prąd – tymczasem korzystamy z ogromnej życzliwości jednego z sąsiadów placu, który w razie potrzeby nam użyczy dostęp do energii, ale musimy zdobyć się także w tym za-



dzieci uznały ten plac zabaw za „bardzo swój”. Czują się tu bezpiecznie, przyjęły, że ich prywatne zabawki są tu bezpieczne, więc pozostawiają je tutaj, żeby nie nosić do domu i nie wracać z nimi kolejnego dnia. Myślę, że to jest jedna z najlepszych rekomendacji tego miejsca, o jakiej można pomyśleć. To jest miejsce dzieci i one o tym wiedzą.

Place zabaw z reguły nie mają swojej długiej historii powstawania. Ktoś w jakimś programie znajdzie źródło finansowania, dogada się co do kilku

ze względu na przepisy budżetowe na kilka lat przed otwarciem placu. Dla przykładu – dwa lata czekały na montaż przeszła ogrodzenia. I dlatego część sprzętu za nieco ponad 100 tys. zł pochodzi od jednego „darczyńcy”, zjazd linowy za 15 tys. – od innego, a kto inny kupił warte 50 tys. zł ogrodzenie. Ale to wszystko zostało rozliczone. To była wspólna sprawa wielu ludzi, ale bez Ewy Pachciarek z Urzędu Miasta i Gminy, czy bardzo życzliwych sprawie pracowników Partnerstwa Izerskiego, które bardzo wyrozumia-



kresie na samodzielność. A potem może chodnik wzdłuż głównej drogi, żeby dzieci opiekunami mogły iść bezpiecznie, bo teraz idą ostrożnie poboczem, ale to nie jest najlepsze rozwiązanie. Pomysłów „co by tu jeszcze” jest sporo, szukamy możliwości finansowych do ich realizacji. Dzieci bowiem też jest dużo, bo i w Mroczkowicach, i w pobliskim Kamieniu, skąd dochodzą na nasz plac jest grubo ponad setka do 12 roku życia. A że ten plac służy także dorosłym, na spotkania i festyny, to teraz nawet trudno sobie wyobrazić, gdzie my się organizowaliśmy, jak jeszcze tego placu nie było.

I Olszyński Festiwal Ludowy „Zielony Mosteczek”



Jak co roku na obszarze LGD Partnerstwo Izerskie odbywały się liczne wydarzenia kulturalne skierowane do mieszkańców i turystów. Stowarzyszenie uczestniczyło w I Olszyńskim Festiwalu Ludowym „Zielony Mosteczek”, który odbył się 14 lipca na Stadionie Gminny w Olszynie. W festiwalu brały udział zespoły ludowe z powiatów lwóweckiego, lubańskiego i zgorzeleckiego. Uroczysty korowód z udziałem Orkiestry Drodz Bend oraz wszystkich zespołów rozpoczął wydarzenie, w którym brały udział także koła gospodyń wiejskich, lokalni rękodzielnicy i organizacje prezentując produkty lokalne i serwując wyśmienite potrawy przygotowane na bazie lokalnych produktów. Takie wydarzenia to przede wszystkim pielęgnowanie i kultywowanie tradycji, przekazywanie ich z pokolenia na pokolenie, integracja i aktywizacja lokalnej społeczności.

Boisko w Koźlicach

Ta inwestycja mogła powstać przede wszystkim dlatego, że aktywnością wykazał się Uczniowski Klub Sportowy w Jerzmankach. Pozyskano środki przy aktywnym wsparciu Stowarzyszenia LGD Partnerstwo Izerskie, a inicjatywa UKS i zgorzeleckiej Gminy dała w sumie świetne rezultaty.

Lokalizacja obiektu w Koźlicach wynika przede wszystkim z faktu, iż w tej wsi przybywa mieszkańców. Właściwie ktoś, kto przyjeżdża do Koźlic może na własne oczy zobaczyć „dwie wsie”. To nie znaczy, że stara zabudowa jest gorsza. Jest po

prostu inna, a nowe domy budowane są wedle nowoczesnych projektów i widać, że ich właściciele raczej nie przewidują swojej aktywności zawodowej w uprawach czy hodowli. To mieszkańcy miasta, którzy szukając spokojnego miejsca dla siebie, wybrali wieś.

Tyle, że akurat w tej wsi nie było do tej pory urządzeń sportowych, które dopełniają obrazu każdej miejscowości, w tym boiska. Zostało więc ono zlokalizowane przy świetlicy wiejskiej, która jest od dawna naturalnym miejscem rozmaitych aktywności. Zyskała kolejną szansę. Z loka-



lizacji wynika, że nowe boisko może być wykorzystywane zarówno przez dzieci i młodzież, jak i dorosłych, albo i całych rodzin.

Za niemalże 90 tys. zł udało się wykonać solidny obiekt, który może zaprosić do rozgrywek w piłkę koszykową, a nawierzchnia modułowa na betonowej podbudowie będzie zapewne trwała. Mrozooodporna, propylenowa warstwa będzie komfortowym podłożem dla wielu dzieci, których spodziewają się organizatorzy atrakcji.

– To jest naturalne miejsce integracji mieszkańców, bez względu na różnice pokoleniowe – usłyszeliśmy.

– To tym bardziej ważne, że w Koź-

licach nigdy nie było obiektu sportowego tego typu i w takim standardzie. UKS w Jerzmankach, ze prezesem, Markiem Wolaninem (w pozasportowej rzeczywistości – wicewojtem Gminy), od trzech dekad działa na rzecz prowadzenia zajęć sportowych dla dzieci i dorosłych. Zanim UKSD wziął się za boisko w Koźlicach, wcześniej wybudował siłownię wewnętrzną w Białogórze. Klub prowadzi też systematyczne treningi dzieci i młodzieży zainteresowanej zapasami. Dziewczyny trenują w stylu wolnym, chłopcy – w stylu klasycznym, a ponadto zainteresowani mogą grać w hokeja, czemu luży wyjątkowo dobrze hala ŁOS_ia.



"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Skatepark

Miejsce ze sportową tradycją

W Lubomierzu, tuż poza granicami zrewitalizowanego Rynku powstał ostatnio skatepark. Na jego budowę złożyły się zgodne wysiłki (i pieniądze) dwóch podmiotów – fundacji i Gminy. Z różnych powodów obie te strony kontraktu uznają, iż inwestycja jest bardzo „trafiona”.

– Teza, że w Lubomierzu nie ma aż tak wielu dzieci, żeby skatepark był naprawdę potrzeby, jest z gruntu niesłuszna – powiedziała nam Magdalena Szymanowska. – To prawda, że sam Lubomierz liczy niezbyt wielu stałych mieszkańców, ale można oszacować, że „klientów” skateparku jest bardzo wielu. Choćby wywodzących się z tutejszej szkoły podstawowej, gdzie uczy się ok. 400 osób. Po likwidacji szkół w Pasieczniku i Wojciechowie w całej gminie, (poza

Pławną, gdzie jest ok. stuosobowa szkoła), nie ma innej placówki tego typu, więc młodzież nie tylko z Lubomierza korzysta z urządzeń skateparku. Do tego trzeba doliczyć uczniów tutejszego Zespołu Szkół, gdzie jest i technikum, i liceum, i szkoły branżowe. Dlatego nie obawialiśmy się, że ta inwestycja będzie niewykorzystywana. Życie potwierdziło nasz optymizm.

To miejsce ma zresztą sportowe tradycje. Dziś zajęte w części pod skatepark, w części stanowi teren zielony, a w części zainstalowano urządzenia placu zabaw dla najmłodszych. Rodzice i opiekunowie mogą siedząc na ławeczkach rzucać okiem na wyczyny najmłodszych, którzy nie wejdą w kolizję z rolkarzami, czy rowerzystami ze skateparku, bo



jednak dystans dzielący te urządzenia jest spory. Dawniej tym miejscu był „małpi” gaj, też w swoim czasie popularny, ale mody się zmieniają, jednak potrzeba fizycznego wyzyska się – jest trwała.

– Nie przewidujemy organizowania

wypożyczalni sprzętu – powiedział M. Szymanowska. – Z naszego rozważania wynika, że nie ma – przynajmniej tymczasem – takiej potrzeby. Młodzież ma swoje sprzęty. Ale myślimy o szkoleniach, kursach, czy pokazach gości z zewnątrz, bo to i pro-

mocja urządzeń, i atrakcja dla tych, co jeszcze nie są zdecydowani, czy wziąć hulajnogę i ruszyć z pochylni. Z oczywistych powodów skatepark bywa najbardziej obciążony w okresie wakacji, ale i po nich też zdarzają się dni, kiedy jest oblegany.

Zaiszny zakątek w Zaciszu

Ekoodkrywcy

– To nie jest po prostu plac zabaw – powiedziała nam Inga Sobucka z Zacisza koło Leśnej. – Oczywiście – są tam huśtawki, czy podobne urządzenia, by dzieci mogły wyzwolić energię, jaka je roznosi czasami, ale to jest miejsce, które przede wszystkim uwrażliwia na ważne sprawy natury. Mamy w Kole Gospodyń ogromną satysfakcję z tego, że stworzyliśmy je razem z dziećmi i ich rodzicami. Z pewnością to miejsce będzie otoczone innym rodzajem dbałości, bo ono jest wspólne od po-

czątku do końca, to znaczy od kopania dołków pod kwiatki, aż do... – właściwie tego końca jeszcze nie ma! Zakończył się projekt i wszystko, co powinno zostać tam zainstalowane, to zostało. Ale... myślimy już o tym, żeby w kolejnym roku wzbogacić wyposażenie, posadzić nowe rośliny...

Oficjalnie nazywa się to „Zaiszny zakątek małego ekoodkrywcy” i poza urządzeniami do zabaw, zjeżdżalniami, huśtawkami, itp. powstały tu domki dla owadów, poidelka dla pszczoł, posadzono miododajne rośliny, stworzono możliwości, by dzieci mogły podglądać owady. Były też – na inaugurację – warsztaty, które pro-

wadziła Karolina Cierlik, sama prowadząca pasiekę, ale też będąca wolontariuszem-edukatorem dla dzieci przedszkolnych. Tego, co mówiła, z uwagą słuchali też rodzice.

Dla wielu było zaskoczeniem, że pracownica pszczoła miodna żyje raptem 30 – 60 dni, a sympatyczny trzmiel łąkowy raczej nie dożywa więcej, niż czterech tygodni. A czy pszczoły „pracują na trzecią zmianę?”, to znaczy – w nocy? W zasadzie nie, bo widzą tylko przy świetle dziennym, ale są gatunki, które widzą też w nocy, i takie pszczoły zbierają nektar z nocnych kwiatów. Dla wielu tajemnicą jest, jak to się dzieje, że pszczoły, które nie wi-

dadzą w ciemności, potrafią odnaleźć się w ulu, gdzie przecież jest ciemno. Tak, ale wówczas gatunki „dziennych” pszczoł posługują się raczej zmysłem dotyku... O pszczołach można długo, zostawimy sobie tę przyjemność do wiosennego wydania „Ech Izerskich” i dłuższej rozmowy z Karoliną Cierlik. Ekoodkrywcy z Zacisza już wszystko wiedzą.

– Sama byłam mocno zdziwiona – mówi I. Sobucka – jak wiele owadów korzysta z naszego poidelka. Okazało się to pomysłem trafionym w cel. Nasze nasadzenia też cieszyły się powodzeniem, nie tylko wśród pszczoł, bo przylatywało sporo motyli. Przeko-

naliśmy się, że to był naprawdę dobry pomysł, bo to, co mówiła prelegentka podczas warsztatów dzieci (i ich rodzice) od razu mogli weryfikować patrząc na klomby, gdzie się uwijały pszczoły. Dzieci dostały też małe lupki, żeby mogły wszystko zobaczyć bardzo dokładnie.

– To, że w przyszłym roku powiększymy ogród korzystając najpewniej ze środków funduszu sołeckiego, jest już prawie pewne. Widzimy zainteresowanie mieszkańców, a to nam daje mandat do dalszych działań. Z punktu widzenia edukacji ekologicznej trudno o lepszy przykład i mamy ogromną satysfakcję z naszej pracy.

Alchemia biżuterii

– Zawsze mnie intrygowały sprawy nieoczywiste, najczęściej starałam się znaleźć odpowiedzi na pytania, które sama sobie stawiałam – mówi Sandra Matusiewicz z Chmielenia, zapytana o to, skąd się wzięło jej zainteresowanie minerałami. – Dla mnie – powiedziała – naturalne minerały, szczególnie te, które pochodzą z Karkonoszy, Gór Kaczawskich, czy Izerów są znakomitą dowodem na istnienie czegoś tak nieokreślonego, jak magia kamieni. A alchemia? To było przed wiekami intuicyjne poszukiwanie, ale i znajdowanie przez ludzi takich nieokreślonych wówczas mocy w różnych miejscach im współczesnego świata. Jestem pełna podziwu dla nich, bo teraz wszystko jest zdecydowanie łatwiejsze. Można przy pomocy naukowych procedur stosowanych w chemii i fizyce, czy fizyce kwantowej, ale też innych dziedzinach nauki znaleźć bez większego trudu informacje potwierdzające intuicyjne tezy sprzed setek lat. Alchemia – to rodzaj paranaukowej bajki, ale wiele prawd, które odkrywali starożytni alchemicy potwierdziły badania naukowe....

Z faktu, że wiele kamieni emanuje swoją charakterystyczną dla siebie mocą, można wyciągnąć wnioski bardzo praktyczne. Kamienie mogą dodać, albo odebrać energię. – To nie są gusła – mówi S. Matusiewicz. – To

dziś żadna tajemnica, że moc kamieni szlachetnych, czy ozdobnych kumulowała się w procesie ich powstawania, a przecież powstawały miliony lat. To, że kryształy mają zdolność generowania napięcia elektrycznego pod wpływem zewnętrznych naprężeń, to oczywistość naukowa. Czy mają zdolność wpływania na stan fizyczny i psychiczny konkretnego człowieka? To już inna sprawa. Pewnie jednak tak jest, w jakimś przynajmniej stopniu. Czy leczą? – o czym chcą przekonać entuzjaści magii. Raczej nie, same z siebie nie leczą, ale badania naukowe przekonują, że ich wpływ na zdrowie człowieka poddanego leczeniu farmakologicznemu istnieje.

Podobno agaty uspokajają w okresach szczególnego stresu, od starożytności traktowane były jako ważny amulet. Chalcedon pomaga zachować spokój. Różowy kwarc znany jest jako „kamień miłości”, bo wzmacnia empatię i wrażliwość, pobudza zmysłowość. Malachit jest szczególny, bo broni przed negatywnymi energiami, a gdy pęknie, to daje sygnał, że właścicielowi grozi coś szczególnego.

– Czy wiara w moc kamieni wzmacnia ich działanie? Może tak być, bo przecież ludzie poddawani są eksperymentom polegającym na tym, że zażywają obojętny dla zdrowia proszek (placebo), a upewniani, że to



jest znakomity lek, dochodzą w wielu przypadkach do siebie i czują się zdrowsi.

– Ja po prostu lubię minerały i lubię z nimi przebywać – mówi S. Matusiewicz. – Mam trochę zdolności manualnych, więc metodą splatania mikromakramy potrafię tworzyć elementy biżuterii, w których naturalne minerały, zebrane niemal nieopodal domu zyskują status efektownej ozdoby. Minerały zawsze, już od starożytności były ozdobami, współcześnie nie straciły ani trochę z tego waloru. Z mojej pracowni idą w świat talizmany i amulety, naszyjniki i bransoletki, kolczyki i zawieszki, a nawet pierścionki i świeczki. Sztuka mikromakramy znana była już dawniej, w starożytnej Assyrii i Babilonii, a jest modna też w Europie XXI wieku. Staram się, by moja biżuteria była możliwie najtrwalsza, więc zaplatam minerały nicią jubilerską lub jedwabną czy na nylonowych sznureczkach.

Czy się różni amulet od talizmanu? – Amulet, to przedmiot który się nosi dla ochrony, a talizman ma przyciągać pozytywną energię. To najprostsze wyjaśnienie. Są wykony-

wane z rozmaitych materiałów, ale kamienie bywają najczęściej wybierane. Nosi się je jako ozdoby, i – po prostu – w kieszeni, przechowuje w domu, w miejscu pracy. Działają na zasadzie rezonansu magnetycznego, więc mogą przyciągać lub odrzucać jakiegoś rodzaju energii.

Ale... należy mieć świadomość, że amulety czy talizmany nie są czymś, co rozwiąże za nas ważne problemy. Mogą w tym pomóc, są świetnym narzędziem, rodzajem wsparcia, zastrzyku siły dla naszej intuicji, mogą nas wzmocnić, jednak niczego za nas nie robią. Inna sprawa, że warto znać właściwości kamieni, bo są takie, które swoje działania znoszą w sytuacji, gdyby zaufały im obu naraz. Tak jak dla przykładu nie warto łączyć turmalinu i agatu.

– Wybór takiej działalności też nastąpił pod wpływem minerałów?

– Pewnie coś w tym było, bo interesuje mnie parapsychologia i wpływ elementów otoczenia na działanie człowieka. Lubie poznawać rytuały, fascynuję się elementami historii... To wszystko składa się na logiczny ciąg zdarzeń, które sprawiły, że się tym właśnie zajęłam. Mam za sobą sporo lat poznawania krajów Zachodu Europy. W różnych krajach pracowałam, mam więc ten багаż doświadczeń, który pozwala lepiej



rozumieć postępowanie ludzi, ale też wspiera myślenie, czy i jak im można pomóc. Biżuterię przygotowuję myśląc o tych, którzy będą ją nosić, mam dobre intencje i ufam, że one w jakiś sposób wpłyną na siłę dobrego oddziaływania na ludzi, których spotkałam i którzy wybrali właśnie moje prace.





Gawęda (nie tylko) o Zawidowie

Miasto tysiąca małych zagadek



– Na jakie pytanie o Zawidów nie umiałbym odpowiedzieć? – zastanawia się Kamil Kasperk – Chyba na to – jakie miejsce w Zawidowie najbardziej lubię? To jest dla mnie za trudne. Ja po prostu lubię cały Zawidów, ze wszystkimi jego tajemnicami i niedoskonałościami. Cały, bez wyjątku.

Chcieliśmy, żeby ktoś nas przekonał do Zawidowa, małego miasteczka tuż przy granicy z Czechami, niedaleko do granicy z Niemcami, którego mieszkańcy łatwiej znajdą pracę poza nim, niż w samym mieście. Trudno tu o wskazanie zabytków, dla których warto przejechać choćby 20 – 30 km, żeby zobaczyć je na własne oczy.

– To nie do końca prawda – nie zgadza się nasz rozmówca. – Ale jest jeszcze jeden drobiazg, który warto sobie uświadomić. Zawidów jest miejscem, jakie warto „smakować” powoli, i w drobiazgach, poznawać ciekawe zakamarki przez pryzmat jego historii. Tu nie kipi od zabytków z listy UNESCO, nie ma monumentów, parku dinozaurów itp. Ale życiorys miasta jest przebogaty. Był przecież Zawidów w przeszłości ważnym punktem na mapie historii świata. Mało kto wie, że właśnie Zawidów był jedną ze spraw zaistniałych w tzw. układzie monachijskim 1938 roku. To tutaj przez kilka dni trwała strzelanina między oddziałami Freikorpsu, a czeskimi celnikami. Ci pierwszy, przebrani w austriackie mundury, zostali wysłani tylko po to, by propaganda hitlerowska miała szansę okłamać świat, że Niemcy sudecy są ciemiężeni przez Czechów. I dlatego należy dokonać anshlusu (zaboru) Sudetów na rzecz Niemiec, żeby bronić rodaków przez zagrożeniem, jakie tworzy Czechosłowacja. Ten zabór się dokonał i była to próba generalna przed II wojną światową.

Zawidów znany był w przeszłości pod kilkoma różnymi nazwami, od najstarszej Sydenberg (1341), przez Sidinberg (1378), Zeidenberg (1414) i in. Nieznane są powody, dla których – wprawdzie w bardzo krótkim okresie po 1945 r. miejscowość nosiła nazwę Żydzin, być może twórcom wydawało się, że to jest spolszczony fonetycznie odpowiednik niemieckiej nazwy miasta.

Hitler z sukcesem powtórzył tę zagrywkę rok później zwaną w historii Polski „prowokacją gliwicką”. Historyczne analogie? Skojarzenia ze współczesnością? Są oczywiście – teraz Putin „wyzwał” Krym, Donbas i Ługańsk, bo chce „chronić Rosjan” tam zamieszkujących przed agresywnymi i ponoć żądnymi krwi Ukraińcami. Jak się skończył zabór czeskich Sudetów – wiemy z historii. Czemu służyła prowokacja gliwicka – tym bardziej. Nie powinniśmy więc mieć wątpliwości, czy dopuszczenie do zajęcia Krymu przez Rosję skończy się inaczej. Tego możemy nauczyć się na przykładzie Zawidowa.

Wtedy premier Chamberlain wrócił z Monachium uradowany, że Europa, akceptując oddanie Niemcom Sudetów (godząc się na zabranie ich Czechosłowacji) zyskuje pokój po wsze czasy. Zyskała na rok. Naprawdę trudno jest dostrzec analogie między 1938 rokiem, a obecną sytuacją w Ukrainie?

Z Zawidowem, a właściwie z poznawaniem i analizowaniem jego historii jest pewna trudność. Źródeł polskich jest niewiele. Wydawnictw popularno-naukowych, pisanych m.in. w oparciu o zasoby bibliotek niemieckich, gdzie jest wiele dokumentów, nawet prasy o Zawidowie – nie ma prawie wcale. Miasto czeka chyba na swojego odkrywcę. A może już się doczekało?

– W jakie miejsce zaprowadziłbym gości, którzy chcieliby zacząć poznawać Zawidów? – zastanawia się Kamil Kasperk. – Przede wszystkim w okolicie wieży po kościele ewangelickim. Ta świątynia powstawała od XIV w., została ostatecznie wyburzona w 1972. Jeszcze w 1946 roku był tu niemiecki pastor, który tamtej wiosny odprawił ostatnie ewangelickie nabożeństwo. Ten kościół i jego otoczenie są jakby w pigułce ilustracją zawikłanych losów miasta i jego mieszkańców. Stąd wywieziono w 1942 roku dwa dzwony, by je przetopić na broń, a w 1950 roku – wyjechał stąd ostatni z nich, razem zresztą z organami. Wszystko zniknęło. Można powiedzieć, że jakakolwiek nacja ubolewa dziś nad zniszczeniem kościoła, to są krokodyle łzy. I jedni, i drudzy się do tego – w różnym stopniu – przyczynili. Ale jest część win niepodzielnych. Swego czasu i relatywnie niedawno, wydobyto tablice nagrobne z ziemi przy kościele – tu był dawniej cmentarz. Nieznani sprawcy znisz-

czyli cmentarne pamiątki. Z głupoty? Z jakichś przekonań? Szkoda, bo ludzie, którzy byli zainteresowani konserwacją następnych, ewentualnie wydobywanych z cmentarza pomników, stracili przekonanie o potrzebie ratowania historii, przynajmniej w tym obszarze. A przecież na Pogórze w wielu wsiach stoją pomniki żołnierzy poległych w I wojnie światowej. To byli Niemcy, ale przecież



przede wszystkim mieszkańcy tych wsi, w których teraz my mieszkamy. Nikomu nie przychodzi do głowy – na szczęście – pomysł dewastacji tych monumentów. W Zawidowie stało się inaczej.

– Sięgnijmy głębiej do historii, by nie budzić licha przypomina-niem historii nowożytnej – mówi K. Kasperk. – Im głębiej sięgamy, tym mniej oczywiście wydają się powszechnie obowiązujące opinie. Mówi się m.in., – Wzgórze Zamkowe. Rozumie się przez to, że tam stał zamek, o którym wiemy z historii, przynajmniej tyle, że istniał. Ale to wcale nie jest takie oczywiste, że na tym wzgórzu. Wielu uważa, że warownie wzniesiono w zupełnie innym miejscu. Badania archeologiczne przeprowadzone niedawno (pisaliśmy o nich w „Echach” w jednym z poprzednich wydań), ujawniły sporo drobnych artefaktów. Trudno i będzie kontynuować z różnych powodów – finansowych, organizacyjnych... Zresztą miejsce, gdzie mógł się znajdować zawidowski zamek stanowi dziś prywatną działkę, ze stojącym na niej budynkiem mieszkalnym. Pewnie to już zostanie tajemnicą.

– Nie kusi jej rozwiązywanie? Gdyby istniały podróże w czasie, w jakiej epoce istnienia Zawidowa chciałbym się znaleźć?

– Jestem dziś i to mi odpowiada, ale gdybym miał na jakąś dłuższą chwilę przenieść się w przeszłość, to pewnie do lat przed I wojną światową. Po pożarze miasta w 1834 roku, kiedy to spłonęło ponad 80 % zabudowy i po okresie wznoszenia się z ruin nastąpił burzliwy rozwój. Nie pierwszy, po nie pierwszym kataklizmie, bo w 1769 roku wielki pożar pochłonął 170 domów i przeniósł się nawet na czeskie Habartice. Ale potem, w II połowie XIX w. pojawiły się nowe fabryki, zatrudnienie rosło w oczach do tego stopnia, że niemieckojęzyczni Czesi przyjeżdżali tu za pracą. Potem kryzys lat 20. tych w XX w. sprawił, że to Niemcy szukali pracy w Czechach. Ponoć od 1848 roku, kiedy to powstał pierwszy znaczący zakład napędzany kołem wodnym, wszystko zaczęło kwitnąć. Doszło do tego, że od lat 70. XIX w. zaczęto myśleć o kolei. Stacja kolejowa (powstała ok. 1875 r., ze względu na usytuowanie terenu zlokalizowana 3,5 km za miastem) dała kolejny impuls rozwojowy. Ze względu na tę odległość planowano budowę kolejki wąskotorowej, czegoś w rodzaju „tramwaju miejskiego”, żeby dowozić z miasta na stację ludzi i towary, ale wojna zdewastowała te plany.

Niezależnie od planów „tramwajowych” sama kolej sprawiła, że powstała przy niej dynamicznie rozwijająca się cegielnia, w której dachówki zamawiali nawet królowie (jak król Jugosławii, w latach 20. tych XX w.).

Historia Zawidowa przypomina sinusoidę – lata stagnacji mijają, nadchodzi rozkwit, potem znowu „dołek”... W początku XVIII w. było tu ponad stu sukienników, mi-

nęła niemal sto lat i Zawidów miał browar, olejarnię, folusze. W latach po II wojnie światowej istniały dwa wielkie zakłady, m.in. Fabryka Maszyn Budowlanych, początkowo nosząca nazwę „Siew” (bo wyrabiano tu pługi i brony, ale później wielkie ciągi maszyn dla wielu cementowni, eksportowanych nawet do Indii, Brazylii, czy Egiptu), wcześniej zakłady przemysłu wełnianego. Oba prowadziły szkoły zawodowe, by przyuczać potencjalnych pracowników...

Tę rozmowę, a właściwie opowieść o Zawidowie można byłoby toczyć godzinami, bo jeszcze i Koci Potok z perłami słodkowodnymi, i incydenty w rodzaju śmierci 7 wiernych, którzy zginęli, gdy piorun uderzył w kościół mogłyby być osobnymi tematami. Czy o innych miejscowościach Pogórze też można tyle opowiadać? Czy znajdzie się w nich także ktoś, kto zafascynowany historią swojego miejsca na Ziemi zechce Czytelników „Ech” zapoznać ze swoim miastem, swoją wsią?

Czekamy na zaproszenia, a gawęda o Zawidowie niech będzie ku temu inspiracją.

Na marginesie filmowej sztuki

W Mirsku otwarło się kino!!

Tytuł jest zasadny, ale trochę inaczej, niż w powszechnym rozumieniu tego słowa. Kino zostało otwarte, seanse trwały od wczesnego ranka do późnego wieczora, ale... tylko jeden dzień.

– Odbyło się 7 seansów w ramach projektu firmy „Idę do kina”, przy czym w tym przypadku to kino przyszło (przyjechało) do nas. Rzeczywiście – seanse trwały od 8.30 do 20.20, przed południem było to „kino edukacyjne” dla dzieci i młodzieży szkolnej, popołudniu – „kino otwarte”, to znaczy takie, że każdy, kto zechciał kupić bilet mógł obejrzeć m.in. najnowszą wersję filmu „Chłopi”, czy komedię „Teściowie 2”, i in.

Swego czasu istniało w Mirsku kino „Świt”, budynek jeszcze istnieje, ale kino przestało istnieć już wiele lat temu. Potencjalni widzowie – jeśli już chcieli obejrzeć konwencjonalnie film – woleli jechać do dużych kin w Jeleniej Górze, gdzie repertuar był bardziej zróżnicowany, technika kinowa – zdecydowanie lepsza. Ale...

Renesans lokalnych, czy wręcz – sublokalnych kin zaczyna dawać oznaki życia. Idea „Kina za rogiem” znakomicie odnalazła się we Wleniu, czy w Lubomierzu. Tam kinomani stanowią niedużą, ale zwartą grupę. Czy Mirsk będzie kolejnym takim ośrodkiem?

– Nie przesadzamy niczego – powiedział nam Bolesław Faściszewski – ale istnienie „Kina za rogiem” musi wypływać z autentycznych, wyrazistych potrzeb, a nie urzędowej inicjatywy. Można powiedzieć, że jeśli przez mirskie kino jednego dnia przewinęło się ponad 700 widzów, to jest znacząca liczbowa grupa. Czy przyszli wyłącznie dlatego, że to było „novum”? Nie sądzę, bo później wymieniali – mocno kontrowersyjne – opinie n.t. „Chłopów”, który to film jednym się bardzo podobał, a drudzy byli wstrzemięśliwi w opiniach. Tak czy inaczej „Chłopów” obejrzała setka widzów. Z pewnością wielu z nich nie pojechałoby do kina gdzieś dalej, by ten film zobaczyć. Nie ukrywamy, że liczą się też pieniądze, a poza tym – czas. W Mirsku można było wejść do kina za niemalże połowę ceny biletu w większym mieście, a podróże też kosztują. Każdy umie liczyć, a nie każdy traktuje wypad do kina w większym mieście jako drobiazg w domowym budżecie. Może gdyby markowe filmy wyświetlano w Mirsku częściej, to grupa widzów byłaby stabilna?

Tanie 380

Nikt nie ma wątpliwości – nie udało się stworzyć w Polsce programu, dzięki któremu mogłyby powstawać mieszkania pod wynajem, w przypadku których kwota najmu nie byłaby rujnującą dla budżetów domowych niezbyt zamożnych rodzin.

Być może udaną próbą rozwiązania tego kłopotu będzie powołana na początku grudnia br. Społeczna Inicjatywa Mieszkaniowa sp. z o.o. „Łużyce”. Powołały ją: Sulików, Leśna, Zawidów, Nowogrodzic i gmina wiejska Zgorzelec. Spółkę uzupełniają Węglińiec, Ilowa (z Lubuskiego) i Miasto Lubañ. Każda z gmin-spółkowiczek otrzymała 3 mln zł z Krajowego Zasobu Nieruchomości. Wspólnie mają doprowadzić do sytuacji, że w ciągu najbliższych 10 lat powstanie 380 niedrogich w utrzymaniu mieszkań.



"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Saga (nie tylko) o wsi, która jest ponoć zapomniana, choć nazywana była „izerskim Davos”

Opowieść o Barcinku



– Dla mnie Barcinek jest inspiracją, a nie tylko miejscem zamieszkania – powiedział Piotr Bagrowski. – To bardzo ekscytyjące – poznawać miejsce w którym się żyje, a właściwie legendę tego miejsca. Takiego Barcinka, jaki ja znam ze starych pocztówek, z zapisów w rozmaitych dokumentach, rozmów z byłymi mieszkańcami już nie ma. Zniknął właściwie na naszych oczach, ale moim zdaniem pojawiają się oznaki odrodzenia. Jeszcze nieliczne, ale dostrzegalne. Ale „stary” Barcinek – to rodzaj bajki. Trzeba być jednak uczciwym i ograniczyć skłonność do narzekania, bo nie jest tak, że dawniej wszystko było świetne, a dziś jest gorsze. Przyczyn zmian jest sporo. Inna jest bowiem rzeczywistość. Niektórych elementów wsi żał, a z wieloma sprawami trzeba się po prostu pogodzić, bo skoro zmienił się świat, to i one musiały się zmienić

kowo kolorowa, bo Richard Brewhaus ze Szwajcarii, który tu osiadł w końcu XIX w. założył zakład leczniczy, który dynamicznie się rozwijał, póki (w latach 30.tych XX w.) nie został zaanektowany przez oficerów niemieckiej Luftwaffe. Po 1945 roku wieś nosiła krótko nazwę Korczakowo, przypominając tym osobę opiekuna dzieci, a potem zdecydowano o Barcinku (pewnie od pszczoł i leśnych barci, co jest tym bardziej prawdopodobne, że leżąca tuż obok wiesi nosi też „pszczelą” nazwę – Pasiecznik).

A wcześniej, w swojej długiej historii Barcinek był niemalże samowystarczalny. Była tu garbarnia, papiernia, kilka sklepów, odlewnia. Była ubojnia i rzeźnia, a przy niej – knajpa. Restauracji zresztą było tu kilka. Była – co wówczas stanowiło normę – poczta. Po budynku jaki zajmowała nie pozostał ślad. Istniejący tu zakład

istniejące onegdaj, to były tu i hodowla owiec, młyny do mielenia dębowej kory, folusz, cegielnia...

Piszemy – to było, było... nieustannie w czasie przeszłym, ale to nie jest prosty zarzut wobec nowych czasów – one się po prostu zmieniły. Internet „zabił” małe sklepy z tzw. towarami przemysłowymi, miejskie galerie przejęły sektor spożywczy, komunikacja własnym samochodem doprowadziła do sytuacji, że do pracy w dużym zakładzie w nieodległym mieście jest blisko, więc tygodniowe zakupy dokonywane są przy okazji. Nie ma więc miejsca – jak dawniej było – na trzy sklepy we wsi. Skądinąd szkoda, że istniejące tu rozmaite punkty widokowe, razem z przesławnym „Kapitańskim Mostkiem” przestały być odwiedzane, ale smartfony „zabiły” w wielu ludziach skłonność do spacerów. A niektóre urządzenia „wymyśliły od nowa” i dopiero rzut oka w przeszłość uświadamia nam, że „to już było”. Okazuje się nierzadko, że to co dziś bywa rodzajem odkrycia, już dawno istniało. Boom gospodarczym agroturystycznym sprzed kilkunastu lat, jako nowej formy wywczasów na wsi jest tylko repliką podobnych funkcji wsi sprzed 80 – 100 lat. Siłownie też nie są niczym nowym – na starych widokówkach widać taką także w Barcinku. Wybór sprzętu był wprawdzie skromniejszy, jednak i wtedy, i dziś to były siłownie – Ale... – mówi Piotr Bagrowski – instytucja poczty nawet w dużych miastach podlega przestoczeniu. Przecież to nie z winy poczty zniknęły w ogóle z życia telegramy. Tylko w piosenkach pozostało, że „ludzie listy piszą”... Piszą, ale elektroniczne. Już tylko niewielki odsetek klientów poczty, i to tych najstarszych, płaci rachunki za prąd, gaz w pocztowym okienku. Zanim więc zaczniemy ubolewać nad tym, że czegoś nie ma, to warto się zdobyć na refleksję – dla czego? To będzie uczciwe.

Natomiast całkiem nowe zjawisko, które pojawiło się relatywnie niedawno temu, to znaczy proces osiedlania się we wsiach mieszkańców miast, którzy traktują swój wiejski dom niemal wyłącznie jak „sypialnię z weekendową funkcją rekreacyjną” pojawiło się kilkanaście lat temu. W dodatku trudno jest jednoznacznie ocenić. Często są to ludzie, którzy pracują i żyją w mieście, a wiejski dom jest dla nich lepszą opcją noclegu. Niektórzy wręcz są zirytowani hałasem, jaki robią nad ranem koguty, piejąc od piątej, czy krowy, które nie uszanują jezdni i zostawiają po sobie jakieś placki. Proces docierania się takich przyjezdnych z tradycyjną wizją wsi bywa długi, szczególnie, gdy wokół nowych domów powstaje solidny mur, odgradzający ich od wiejskiej sielanki. Ten mur czasami trzeba postrzegać i dosłownie, i metaforycznie. To rzadkie przypadki, jednak odkładają się na obrazie wsi.

Barcinek – jak każdy organizm społeczny istnieje w Internecie. Czasami – bardzo niesłusznie, jako „zapomniana wieś”, albo wręcz odwrotnie „Izerskie Davos”.

Są także w Barcinku miejsca, o których nasz rozmówca mówi nie bez emocji, jak choćby o moście. – Ta budowla jest wyjątkowa – powiada – tuż po II wojnie światowej most wysadzili hitlerowcy, chcąc opóźnić natarcie wojskowe. Bez sensu, bo lawiny nie da się powstrzymać, a most uciepiał. Ucierpiał po raz drugi w 1968, bo zniszczyły go przejazdy kolumn czołgów radzieckich, które tędy szły na Czechosłowację. Znowu trzeba go było rekonstruować. A teraz po raz trzeci podlega odbudowie, szczęściem – bez żadnej wojny.

Przy moście była jedna z restauracji, która jednocześnie stanowiła siedzibę czegoś w rodzaju „sądu soltysiego”. Sprawy mniejszej wagi, natury sporów sąsiedzkich rozstrzygali

sąsiedzi, nie irytując drobiazgami profesjonalnych sądów.

Opowieść może być bardzo długa, bo pozostaje sprawa pałacu, który ponoć miano przeznaczyć na miej-

sce relaksu dla najwyższej postawionych funkcjonariuszy Państwa i Partii, o kościele, szkole... Będziemy do tych wątków powracać, jeśli tylko takie będzie życzenie Czytelników.



Sanatorium w Barcinku



Wnętrze sanatorium – w tym siłownia



Sala karczmy bywała salą „sądu ludowego”



Pamiątny most i obiekt karczmy



Jadalnia sanatoryjna



Sanatorium – główny budynek

Choćby chluba wsi i instytucja, która kreowała długi czas jej status, to znaczy – sanatorium. Dobry klimat dziś nie wystarczy, by powstało i utrzymało się uzdrowisko. A to klimat sprawił, że powstał tu leczniczy kurort. Szkoda, że ten olbrzymi majątek, w tym budynku, przestał istnieć. Być może (choćby w innej roli) stanowiłby o wizerunku wsi. Są jeszcze tacy, co pamiętają, jakie to wesela odbywały się w sanatorium w latach 90.tych, chociaż sanatorium już zniknęło... A przeszłość sanatorium jest wyjąt-

bowulany zatrudniał do stu osób! – trudno się temu dziwić, przecież wówczas maszyn było niewiele, więc w budownictwie decydowała liczba pracowników. Ale wizerunek Barcinka budowała nie tylko praca, w równej mierze aktywność społeczna. Istniały rozmaite sekcje sportowe, m.in. gimnastyczna, szermiercza, sekcja rowerowa... Istniał też wiejski (!!!) oddział Karkonoskiego Towarzystwa Turystycznego (Riesengebirgeverein) i liczył – jak mówią źródła ok. 200 – 300 osób. Gdyby wylizcać instytucje



Jedzie pociąg z daleka...



...jedzie pociąg z piernika... – tak mogły śpiewać dzieci z przedszkola, które razem z ogromną grupą dorosłych oczekiwały na pociąg, który po krótkim postoju ruszył, po raz pierwszy od prawie 30 lat, na trasę do Świeradowa-Zdroju przez Mirsk ze stacji Gryfów Śląski. Dla bardzo wielu mieszkańców okolicznych miejscowości reinkarnacja komunikacji szynowej na tej trasie była z jednej strony jak spełnienie dorosłych marzeń, a z drugiej – jak wspomnienie młodości.

– To połączenie koleją ma dwa znaczenia – powiedział nam burmistrz Gryfowa Śląskiego, Olgierd Poniżnik. – Emocjonalne i praktyczne, przy czym to drugie ma ścisły związek i z historią, i z przyszłością. Przecież ta kolej powstała w końcu XIX w. jako reakcja władz ówczesnego państwa na coraz bardziej widoczne oznaki kryzysu gospodarczego regionu. Mobilność ludzi i przewozy towarów zaczynały mieć znaczenie. A na przyszłość...? Rozwiązania ekologiczne, sanacja kolei, jako zjawiska i dywersyfikacja sposobu przemieszczania się do atrakcyjnych miejscowości zyskuje kolosalne znaczenie.

Rzeczywiście – czas kolei w tym obszarze zaczął się w latach 60. XIX wieku, kiedy to powstawały pierwsze kolejowe projekty, a właściwie – wizje. Początkowo zbudowano linię kolejową ze Zgorzelca do Wałbrzycha przez Jelenią Górę, w 1865 roku uruchomiono istniejącą na niej stację w Gryfowie Śląskim, a w logicznym następstwie rozpoczęto planowanie odnóg od głównej linii. Decyzja o budowie linii Gryfów Śląski – Mirsk zapadła w 1882 r., kiedy postanowiono zbudować torowisko ze Lwówka Śląskiego do

Mirsk i Świeradów-Zdrój od lat zabiegały z ogromną determinacją o wznowienie przewozów pasażerskich, przy czym każdy z nich miał nieco inny powód.

– Zaczęliśmy wierzyć, że nasze starania mogą być skuteczne w 2018 roku – powiedział O. Poniżnik – kiedy ówczesny wicemarszałek Dolnego Śląska, Jerzy Michalak zadeklarował spełnienie naszych postulatów. Byliśmy na tyle zdeterminowani, że gotowi, by przejąć maksymalnie wiele obowiązków związanych z prowadzeniem tego przedsięwzięcia. Szczęśliwie nie zaszła taka potrzeba – znakomicie to wykonują „Koleje Dolnośląskie”, nota bene obchodzące właśnie jubileusz 15. lecia istnienia.

Swego czasu burmistrz Świeradowa, w rozmowie z reporterem „Ech Izerskich” stwierdził, że istnienie kolei pozwoli na uwolnienie parkingów od samochodów, którymi do pracy w Uzdrożisku przyjeżdżają mieszkańcy Gryfowa i Mirska. To ważne dla kurortu, bo otwiera nowe możliwości dynamizowania turystyki przyjazdowej. Dla samorządu mirskiego kolej jest ważna nie tylko z powyższego powodu, ale też otwiera – przy dobrym skomunikowaniu – „kolejowe okno na świat” i umożliwi mieszkańcom Mirska dojazd do najodleglejszych w Polsce miast (ale i do Niemiec) jednym środkiem transportu po przesiadce w Jeleniej Górze czy Lubaniu. Dla wszystkich z kolei otwiera to nadzieję na dalsze kroki. W tym – połączenia kolejowego z czeskim Novym Mestem i Libercem. Powstałaby możliwość istnienia kolejowej pętli karkonosko-izerskiej, euroregionalnej. Gdy do tego dodać – jeszcze wprawdzie

nia choćby obraz dworca bo Zakład Nieruchomości PKP i PLK Wałbrzych wyremontowały przynależne sobie elementy naszego dworca – jeden z peronów i przejście na perony, a także poczekalnię z zapleczem. Jesteśmy zobowiązani za te prace, bo liczymy się z tym (i liczymy na to), że pasażerowie skorzystają (w oczekiwaniu na przesiadkę) z okazji do zwiedzenia Gryfowa...

Nam, w redakcji, jawi się taka wizja: efekt domina, wynikający z uruchomienia przejazdów do Świeradowa sprawi, że nieczynna od lat wieża ciśnień zyska jakąś nową funkcję. Turystyczną, gastronomiczną, muzealną, rozrywkową? – niech to będzie świetny biznes inwestora. Odżyje hotel przy dworcu, uruchamiając jakąś klimatyczną kawiarnię na początek. Przed dworcem stanie jakiś elektryczny pojazd i będzie czekał na pasażerów, którzy chcieliby poznać atrakcje Gryfowa w drodze do lub ze Świeradowa. Kierowca tego komfortowego meksa zawiezie ich do Rynku, zobaczą Ratusz i mury miejskie, a w porozumieniu z probostwem będą mogli też wejść do kościoła pw. św. Jadwigi Śląskiej, by zobaczyć renesansowe sklepienie wykonane w stylu sgraffito, jedno z najstarszych na Śląsku. Obejrzą mauzoleum rodziny Schaffgotschów, zobaczą wyjątkowej urody skrzynkowy ołtarz, jakiego nie uświadczysz w większości świątyń. Zайдą do siedziby informacji turystycznej, gdzie będą skuszeni



perspektywą odwiedzin ruin zamku Gryf, który zyska skutecznego opiekuna i rzutkiego przedsiębiorcę. Zайдą do jednej, czy drugiej kawiarenki, restauracji, a zainteresowani zabytkami sztuki sekularnej (cmentarnej) zobaczą niezwyklej pomnik na cmentarzu. Jedyny bodaj, który został wystawiony dla żołnierzy carskiej Rosji i ostał się, bo są ku temu powody. Otóż w trakcie kampanii napoleońskiej Francuzi, chcąc opóźnić natarcie carskich żołnierzy postanowili spalić Gryfów w całości. Wojsko carskie, zwiedziawszy się o tym postanowiło bez większego przygotowania przeprowadzić atak, by uniemożliwić Francuzom podłożenie ognia. Pośpiech spowodował, że blisko setka żołnierzy Rosji poległa w tym ataku, pomnik poświęcony ich pamięci stoi nieopodal cmentarnej kaplicy. O tym wszystkim i o innych ciekawostkach okolic opowie pasażerom kierowca „elektryka”, a oni obiecują sobie, że powrócą, bo przecież do zwiedzenia pozostaje tak wiele...

Czy to wizja nie do ziszczenia? Naszym zdaniem w pełni realna, wszak kilka lat temu o powrocie pociągów na trasę do Świeradowa-Zdroju też wypowiadano się z co najmniej powątpiewaniem.

A skąd w tekście napomknięcie o pociągu z piernika? Widoczny na zdjęciu – to dzieło Barbary Pasiak, mieszkanki Gryfowa Śląskiego, spod ręki której wychodziły nie tylko pociągi, traktozy, czy kombajny. Były piernikowe kościoły, w gabinecie burmistrza stoi Ratusz z piernika. Nic więc dziwnego, że z jej pracowni wyjechał



piernikowy szynobus. A – jeśli już chcemy mówić o interesujących sprawach w Gryfowie, Mirsku, czy Świeradowie, to w tych gminach pracuje kilkunastu rękodzielników i działania każdego z nich mogłyby wypełnić treścią niejedną gazetę. Czy pociąg otworzy przed nimi jakieś nowe szanse? Nie przesadzając – otworzyć może.

Zapytani gryfowianie nie kryją się z opinią. – To świetna sprawa – mówi. – Zima nie jest najlepszym czasem szerokiej promocji, ale pociąg nie jest zjawiskiem sezonowym. Dla nas to ważne, że możemy teraz wygodnie dojechać do wielu miast, bo pociągi są naprawdę racjonalnie skomunikowane z połączeniami dalekobieżnymi. Oczywiście, że liczymy na to, iż Gry-

do piłki nożnej. Pięć lokomotyw, dwa wagony motorowe, 28 wagonów, 40 zwrotnic, ale też 800 drzewek i krzewów, dwieście figurek ludzi i zwierząt – tunele, stacje w Gryfowie, Proszówce, Mirsku...

Ale też obok budynku, przyjezdni mogą oglądać prawdziwą lokomotywę, mającą za sobą ponad 100 lat służby, zbudowaną w Berlinie w 1918 r. Można więc twierdzić, że w Świeradowie-Zdroju, na dworcu powstałym na wysokości 460 m n.p.m., zbudowanym w latach 1909-1911 jest w pigułce można poznawać historię i teraźniejszość kolei w Izerach.

– Czy fakt, że „Stacja Kultury” ma zupełnie inny profil działania, niż stacja kolejowa, a muszą pomieścić się w tym samym obiekcie nie jest kłopotliwy? – zapytaliśmy Dorotę Marek, dyrektorkę „Stacji”. – Wręcz odwrotnie – powiedziała – nie rezygnujemy z żadnego obszaru aktywności „Stacji”, jako ośrodka kultury, a dzięki temu, że na dworzec przyjeżdża wielu turystów to nasza oferta trafia szerzej. Nie ma w obiekcie kas biletowych na przejazdy pociągami – można zakupić je u kierownika pociągu, można też elektronicznie. I to jest to novum, jakie nie istniało, gdy stąd odjeżdżał ostatni pociąg. Jest recepcja, jest zadaszony peron, więc oczekujący na odjazd (przyjeżdżają przecież na konkretny pociąg) nie są narażeni na kaprysy pogody. A przyjeżdżający mogą skorzystać z istniejącego w „Stacji” punktu informacji turystycznej, więc to wszystko składa się w kompletną całość. Nasza makieta cieszy się większym zainteresowaniem, niż do tej pory, bo ogląda ją wiele osób, które być może nie zechciałyby przyjść specjalnie, a mając okazję obejrzeć ją w oczekiwaniu na pociąg, chętnie z tej szansy korzystają. Integracja funkcji obu instytucji dobrze służy jednej i drugiej.

D. Marek potwierdziła, że reaktywacja przejazdów pociągów daje nowy impuls rozwoju m.in. dla turystyki, choć być może zaidzie potrzeba specjalnej promocji przejazdów wśród nastolatków, w pojmowaniu których pociąg jest jakimś dziwolągami i przeżytkiem. Ale to da się zrobić. Niezbędny jest jednak wysiłek każdego z samorządów nad opracowaniem programu wykorzystania kolei w codziennym życiu mieszkańców i przyjezdnych.



Mirską przez Gryfów, a linię otworzył 1 listopada 1884 r. Ale dopiero 26 lat później (czerwiec 1910) oddano odcinek Mirsk – Świeradów. Zadziwiającym zbiegiem okoliczności niemal tyle samo – 27 lat – czekali pasażerowie na powrót pociągu na trasę z Gryfowa Śląskiego do Świeradowa-Zdroju. Pociąg ponownie ruszył 7 grudnia 2023 r. Przypominamy, że kursowanie pociągów na tej linii zawieszono decyzją z 30 listopada 1995 r., ostatni pociąg – co odnotowały kroniki – ruszył ze Świeradowa o godz. 17.00 w dniu 11 lutego 1996.

Trzy samorządy, Gryfów Śląski,

nirozstrzygnięte ostatecznie – idee wznowienia przewozów Koleją Doliny Bobru (Jelenia Góra – Wleń – Lwówek) to przyszłość jawi się świetna.

Ale... trzymając się ziemi można mieć satysfakcję już dziś, bo 9 par pociągów kursujących na tej 17-kilometrowej trasie przy czasie przejazdu ok. 30 minut, wliczając zatrzymania się na przystankach Proszówka, Mroczkowie i Krobica, to jest konkretny efekt.

– Nie chcę używać górnolotnych stwierdzeń, że dla Gryfowa to bardzo mocny impuls rozwojowy – powiedział O. Poniżnik – ale tak jest w istocie. Już teraz zmienił się nie do pozna-





„Otwarte ogrody” to nie tylko ogrody

„Otwarte ogrody” – to inicjatywa nie tylko izerska. To przedsięwzięcie jest popularne – a właściwie popularyzowane, bowiem wciąż zyskuje nowych fanów – w całej Polsce. Ale na Pogórzu Izerskim ma ona szczególny wymiar, integralnie związana jest z relaksacyjnym charakterem wielu gospodarstw agroturystycznych. Świadczą o tym dowodnie wpisy internetowe ludzi, którzy albo odwiedzili te ogrody w trakcie trwania akcji, albo żałują, że nie odwiedzili.

„Wspaniale jest tak korzystać z życia, realizować się w marzeniach, a cudowna sceneria wokół tylko wszystko intensyfikuje” zapisała „bookendorfiną”, co z kolei skomentowała Anna pisząc: „To prawda, życie zgodne z marzeniami jest czymś niesamowitym”.

Jedna z właścielek uśmiecha się przy lekturze takich wpisów. – Przecież nikomu nikt nie zabrania żyć zgodnie z marzeniami, faktem jest, że trzeba trochę odwagi, by porzucić bezpieczną pracę i życie w mieście, zdecydować się na samodzielność w pełnym tego słowa znaczeniu i... już.

– To trochę tak – mówi inna – jak odpowiedź na pytanie jednego gościa rodziny brytyjskiej, który zapytał właścicieli domu otoczonego pięknym trawnikiem. co trzeba robić, żeby trawa wyglądała tak pięknie? Usłyszał w odpowiedzi, że... właściwie niewiele. Wystarczy splantować teren, wysiać trawę, a potem włożyć odrobinę wysiłku pielęgnację trawy. – Ja też tak robię – powiedział gość – ale mój trawnik wygląda skromniej. – Zapomniałem dodać – odpowiedział gospodarz – że trzeba to robić przez 200 lat... Sedno bowiem tkwi w wytrwałości pielęgnacji. Ale to wszystko zależy, czego się chce. Dzikie ogrody też mają swój urok, tylko inny.

Tyle, że „otwarte ogrody” to nie tylko najpiękniej pielęgnowane rabaty, o czym świadczą wpisy ludzi, którzy zdecydowali się, by zajrzeć na Pogórze w okresie przedsięwzięcia.

„Jak upiekłeś to ciasto, skąd ta zielona kruszonka, która wygląda ciekawie, a smakuje obłędnie?” – pyta jedna z wizytatorek gospodyni, która swoich, nieznanych wcześniej gości poczęstowała domową kawą i takimż ciastem. – To ciasto pokrzywowe, przełożone kremem z porzeczek i maki ryżowej. Jak wrzucisz w wyszukiwarkę na blogu ciasto „izerska łąka”, to wyskoczą dwa warianty przepisu. „Dziadek Andrzej”, który pewnie też poczęstowany został tym ciastem westchnął tylko: „w domu o zielonych ścianach ciasto też jest zielone, a porzeczkowa nuta dodaje smaku”.

To była druga edycja „Otwartych Ogródów” na terenie Partnerstwa Izerskiego, zakończyła się w pierwszych dniach września., a rozpoczęła się w czerwcu. Z jednej strony można powiedzieć, że promuje ona modny nurt życia „slow”, którego znaczenie polega na tym, że człowiek kojarzy się z naturą, odrzuca w pewnym sensie wszystkie urządzenia, które go napędzają i wręcz popędzają do życia w pędzie, ale z drugiej... – Bez informacji zapisanych w internecie – powiedzieli nam gospodarze – organizacja tego przedsięwzięcia byłaby niemożliwa. To nie jest bowiem tak, że jesteśmy przez 2 – 3 miesiące otwarci na przyjmowanie gości. Otwarcie jesteśmy rzeczywiście, niemniej mamy swoje obowiązki i musimy im sprostać, a dla gości, którzy przychodzą oglądać nasze miejsce na Ziemi mamy czas, gdy już „ogarniemy” własne obowiązki, związane m.in. z... utrzymaniem ogrodów. Sielskość to tylko część wiejskiego życia. Każdy kto o niej marzy, musi zdawać sobie sprawę z tego, że każda sprawa ma swój awers. I rewers.

Późną wiosną przyszłego roku otworzą się ogrody i domy dla kolejnych gości, więc ci, którzy zechcą oglądać dzikie róże w „Dzikich Różach” lub „Róże na górze” w Janicach, „Cynamonową chatkę” i inne miejsca, gdzie życie toczy się swoim rytmem powinni uzbroić się w trochę cierpliwości.

Dzikie Róże, Róże na Górze, Lenno i Ubocze



Otoczeni historią

– Ile zabytków wpisanych jest do rejestru gminnego – zapytaliśmy w Olszynie. – jedyną prawidłową odpowiedzią będzie: „mnóstwo” – usłyszeliśmy. I tak jest w istocie, bo gdyby sięgnąć wyłącznie do Gminnej Ewidencji Zabytków, i tylko do jednej wsi – Bożkowice, to mamy 107 pozycji. Większość to domy mieszkalne, ale zdarzają się stodoły, inne zabudowania gospodarcze, tzw. układy ruralistyczne, wieże widokowe (w przypadku Olszyny – wieża Woldecka w parku przypałacowym, sam park, stajnie, oficyny, nawet mur z zabytkową bramą. I – oczywiście – kościół.

Wydaje się dużo jak na jedną wieś? Może, ale już w samej Olszynie takich zabytków można się doliczyć ok. ... 350! – a przecież nie jest to miasto zbyt wielkie. Najwięcej jest domów mieszkalnych, w tym kilka przysłupowych, czy szachulcowych, ale są i zagrody, domy pełniące dziś funkcje urzędowe (jak np. komisariat Policji), nawet wiata, czy transformator ma rangę zabytku.

A wspomniany „układ ruralistyczny”? Co to jest i czy ma coś wspólnego z zabytkową kanalizacją? Nic bardziej błędnego. Ruralistyka to fachowe określenie układu prze-



strzennego, dotyczy powstawania i rozwoju wiejskich form osadniczych. Słowo jest może nieznane, ale zjawisko dotyczy grubo ponad połowy powierzchni Polski, bo wiele układów wiejskich, architektonicznych, parkowych, itp. podlega ochronie konserwatorskiej, w mniejszym, czy większym stopniu.

Na marginesie: sprawa zabytków w Olszynie jest nieco bardziej skomplikowana, niż gdzie indziej, o czym dowodnie przekonuje fotografia. Przez wiele dekad Urząd Gminy, a od kilku lat Urząd Miasta mieścił się w budynku (skądinąd także zabytkowym), w którym elementy wyposażenia wnętrza również były nobliwe. Szczególny podziw budził wśród gości piec. Samorząd przeniósł swoją siedzibę ostatnimi laty do obiektu wyremontowanego, bardziej funkcjonalnego, ale zdecydowanie młodszego. Przeniósł swój gabinet także burmistrz i... przeniósł się też piec! Można więc stwierdzić z pełną odpowiedzialnością, że chociaż wszystko się zmienia, to jednak wiele spraw pozostaje ze sobą w ścisłym związku.

Wioska Gryfa

Wiele wsi zaczyna bardzo skutecznie zabiegać nie tylko o swój wizerunek, ale niektóre idą dalej. Poza nazwą oficjalną dodają tablice z hasłem promującym miejscowość, sformułowanym w różniący sposób. O Chrośnicy w gminie Jeżów Sudecki, jako „Wiosce barwnych wątków” – pisaliśmy w jednym wydaniu „Ech”, Proszówka w gminie Gryfów zdecydowała się na określenie „Wioska Gryfa”. Zasadne, bowiem właśnie tu możemy zobaczyć m.in. ruiny zamku Gryf, a sama nazwa zamku wywodzi się z legendy, iż na szczycie wulkanicznego wzgórza, na którym stanął

swego czasu zamek, wcześniej swoje gniazdo uwił właśnie gryf.

To historia, a współcześnie turysta może zobaczyć przy drodze zabawną i bardzo czytelną mapę atrakcji jakich może się spodziewać we wsi. Poza wspomnianymi ruinami zamku także kaplicę św. Leopolda, pałac u stóp zamkowego wzgórza, będący dziś siedzibą jednej ze znaczących firm, szlak papieski, wiodący do tej kaplicy, a nawet istnienie hodowli alpaki, które od pewnego czasu pełnią ważną funkcję terapeutyczną dla dzieci zainteresowanych tym rodziców.

Jak na jedną wioskę – sporo. Tablica z pewnością sama w sobie staje się jedną z atrakcji wsi.





Anioły z Zawidowa

**Aniele
stałe bujający w obłokach
bądź z nami
także na ziemi...**

– to tekst inwokacji do jednego z wierszy księdza Jana Twardowskiego, który idealnie pasuje do prac Dagmary Palewicz z Zawidowa. Wprawdzie ksiądz Twardowski nie mógł mieć takich asocjacji, niemniej pamiętając o Jego poczuciu humoru i wrażliwości mamy nadzieję, że nie poczułby się urażony wykorzystaniem fragmentu tego utworu. Dagmara Palewicz bowiem właśnie sprowadza anioły na ziemię...

dziecko, więc trudno się skupić i bez przerwy pracować nad makramą.

– Zawsze starałam się być samodzielna, gdy się czegoś podejmowałam, to chciałam to sama skończyć, dlatego może ten element konsekwencji jest ważny w pracy ze sznurkiem. A anioły są szczególną postacią i szczególną sprawą. W polskiej tradycji są synonimem czegoś (kogoś) dobrego. Lubię je...

– Co jest w tej pracy najtrudniejsze?

– Zawsze szczegół. Sznurek sznurkowi nierówny, nawet jeśli gatunek i rodzaj jest taki sam, to wystarczy, że jest to produkt innej firmy i od razu inaczej się układa. Dlatego mogę po-



tak sobie zaplanować. W dodatku szczegóły wykończenia wpływają bardzo na ostateczny wygląd – włosy anioła trzeba podzielić, rozczesać, wyprostować, czasami utrwalić krochmalem... teraz to już wiem, starałam się dochodzić do ostatecznego efektu sama. Nie liczę czasu, ważny jest końcowy efekt. Czasami pracuję na zamówienie, wtedy mniej więcej wiem, czego oczekuje odbiorca. Ale każda praca powinna mieć stałą, możliwie najwyższą jakość, niezależnie od tego, czy jest przygotowana dla czystej przyjemności, czy nie tylko.

– A inne figury, na przykład – jelenia, też można upleść?

– Bardziej skomplikowane wzory trzeba uplać na stelażu, choćby cieniutętkim drucie, żeby im nadać trwałość. Sznurek jest fantastycznym tworzywem, ale przecież jest wiotki. Jeśli coś ma wytrzymać próbę czasu, niezależnie od stopnia wilgotności w pomieszczeniu, czy poza nim, to musi być przygotowane w taki sposób, żeby zagwarantować niezmienny wygląd. Przygotowuję teraz lizaki choinkowe – one też wymagają mini-stelaża.

– A czy można się spodziewać z Pani strony repliki Michała Archanioła z mieczem? O takich też pisał ksiądz Jan:

**(...) który postawiłeś aniołów z mieczami za bramą,
a nie dyplomatów w białych rękawiczkach (...)**

– Raczej nie, przynajmniej tymczasem – mówi D. Palewicz. – Moje anioły są ciepłe, empatyczne. Chociaż niczego nie mogę wykluczyć, w końcu Archanioł Michał jest strażnikiem Zawidowa, jako mieszkańcy jesteśmy mu coś winni. Ale... z mieczem bym nie przesadzała, anioły pokonują zło dobrocią.



A praktycznie daje im życie.

– Moje anioły powstają ze sznurka – mówi. – Sznurek bawełniany jest znakomitym tworzywem dla takich prac. Skręcany albo pleciony, w zależności od tego, jaki końcowy efekt chciałabym uzyskać. Skręcany można rozczesać, więc jest bardzo przydatny przy anielskich fryzurach, pleciony ma inną strukturę, nadaje się do elementów figury. Zresztą ze sznurka można przygotować bardzo wiele prac, nawet takich, które muszą wytrzymywać większe obciążenia, jak choćby kwietniki.

– Co jeszcze można zrobić ze sznurka?

– Wszystko, a przynajmniej – bardzo wiele. Ozdoby choinkowe, obrzeża do luster, ramki na zdjęcia... Sama robiłam kiedyś firanki do kampera, akurat to była jedna z trudniejszych prac. Ale jest przede mną jeszcze inne wyzwanie – spódniczka, czy okrycie ażurowe, taka „spódniczka – nic”, przewiewna, efektowne osłonięcie dla kogoś idącego na przykład na plażę.

D. Palewicz jest nauczycielką w-f i upodobanie do precyzyjnych prac manualnych nie leży w zakresie jej zadań zawodowych. Ale – jak twierdzi – to ją wycisza. Tyle, że proces wyciszania jest dość skomplikowany, bo czas wolny zabiera jej małe

Konkurs! Konkurs!

IZERY ZA 50, albo i 100 lat

– Do 2023 roku przeciętne życie człowieka może wydłużyć się do 100 lat, a w pojedynczych przypadkach nawet do 150, czy może i 200. Jest możliwe, że nauka spowoduje dodatkowe wydłużenie życia w ciągu następnego stulecia, a także sprawi, że życie toczy się będzie na wyższym poziomie. Wiek młodości można przedłużyć do 30, a zdolność człowieka do pracy może być utrzymana do 70, lub nawet 80 lat. Nie twierdzą, że to wszystko stanie się do roku 2023, ale mówię, że to możliwe – tak przekonywał dr Eugene Lyman Fisk, ekspert w sprawach długowieczności w roku 1922.

Dziś to prorocstwo staje się banałem, ale w roku 1900 przeciętna długość życia mężczyzny to było niespełna 47 lat, kobiety raptem o 3 lata dłużej. W 1935 było to odpowiednio prawie 56 i niewiele ponad 61 lat, więc teza o powszechności stuletniego życia wydawała się być mrzonką. A jednak... żyjemy (przeciętnie) znacznie dłużej niż w czasach dra Fiska. Faktem jest, że jego prognoza co do możliwości przejścia na emeryturę w wieku 70–80 lat też się prawie sprawdza, co powoduje bunt i polityczno-społeczne niepokoje.

A twierdzenie innego amerykańskiego naukowca, że postęp uwolni ludzi od ciężkiej harówki, Charlesa Proteusa Steinmetza, który przekonywał, że w 2023 roku dzięki postępom nauki i elektryfikacji każda metropolia będzie „miastem bez skaży”, bez śmieci na ulicach, smrodu i bez dymu? Tu niestety jest gorzej. Steimetz przewidywał, iż w roku 2023 ludzie będą pracować więcej, niż 4 godziny dziennie (trochę się pomylił, ale przecież eksperymenty z czterodniowym tygodniem pracy już trwają. „Będziemy – prorokował – bardziej skupieni na sobie w dążeniu do osobistego szczęścia”. Tu się nie pomylił. Wystarczy popatrzeć, że zdecydowana większość młodych ludzi skupia się na swoim smartfonie. „Czas wolny będzie stymulował zainteresowanie w każdym możliwym kierunku” – tak pisał 100 lat temu. Chyba jednak w tym przypadku chybił. Zmarł w wieku 58 lat.

Obie powyższe ciekawostki, wytopione przez nas w gazetach sprzed wieku są zachętą do puszczania wody wyobraźni – ogłaszamy konkurs pod hasłem „Jakie będzie Pogórze Izerskie, Polska i świat za lat 50, to znaczy w 2073 roku. To niby niewielka perspektywa, ale świat przyspiesza. Czy można sobie łatwo wyobrazić postępy techniki i technologii?

Na ostatniej stronie tego wydania „Ech” ogłosiliśmy konkurs „wspomnieniowy”, skierowany przede wszystkim do osób w wieku 60+, żeby nasi Czytelnicy zechcieli się podzielić swoimi zdiwieniami. Przecież tak niedawno marzenie o telefonie stacjonarnym w każdym domu było absolutnie poza zasięgiem. Dziś nikt z nas ma dwa telefony przy sobie przez okrągłą dobę, przy czym opłaty za ten luksus systematycznie spadają i są – w porównaniu do innych kosztów – symboliczne. A przecież angielski inżynier Archibald Montgomery Low sto lat temu pracował nad wynalezieniem telewizji i rozmaitych środków komunikacji interpersonalnej. Przekonywał, że w roku 2023 biznesman z Londynu będzie mógł się komunikować z innymi za pomocą specjalnego urządzenia. „Będzie można korzystać z telefonu w samochodzie i pociągu, być może będzie można widzieć osobę, z którą się rozmawia, albo zrobić notatki, które będzie

można zobaczyć z odległości wielu mil”. Dziś przedszkolaki z byle jakiego przysiółka ma takie urządzenie – telefon komórkowy. Low wspominał, że za sto lat musi być coś w rodzaju tunelu pod kanałem La Manche, bo wyspa nie może istnieć w izolacji.

Były i prognozy okropne „Śmierć szybsza niż światło, cicha i ukradkowa, jak cień myśli, przyleci na skrzydłach radia, by niszczyć narody w czasie jednego oddechu. Siły ukryte głęboko w sercu natury zostaną uwolnione przez człowieka...” – to słowa Georga Lyndona Juniora. Niestety – sprawdzają się właśnie teraz każdego dnia.

Ale – żeby nie poddać się dramatycznym nastrojom zacytujmy amerykańskiego reżysera z okresu filmu niemego, Davida Griffitha, który przekonywał, że to film opłakuje świat. „Biblioteki filmowe będą tak samo powszechne, jak księgarnie. Świat zostanie wyszkolony w obrazach, tak, że słowa nie będą już ważne, jak teraz. Wszystkie filmy będą w naturalnych kolorach. Inni sekundowali mu, że znikną gazety, bo ludzie będą w specjalnych kinach mogli oglądać obrazy i wiadomości.

Czyż to nie jest innymi słowy opowiedziana historia telewizji informacyjnej?

Wśród prorocstw były i takie, że strażacy za pomocą specjalnych plecaków będą unosić się w powietrzu i gasić pożary (dziś to nie pojedynczy strażak, a śmigłowiec pożarniczy załatwia ten problem). Były fantazje o życiu pod wodą, o tempie podróży... Tę ostatnią przekuł w powieść Juliusz Verne pisząc „W 80 dni dookoła świata”. A przecież już w 1969 roku statek kosmiczny Apollo 11 doleciał na Księżyc w... OSIEM dni, a to około 380.000 tys. km. Dziś nowsze rakiety polecą zdecydowanie szybciej.

Zadziwiające, ale spora część pomysłów dotyczyła ekologii, aczkolwiek przecież w tamtych czasach dymiące kominy były obrazem chwały i dumy – świadczyły o rozwoju gospodarki. Naukowcy i popularyzatorzy nauki jednak napomýkali, niektórzy bardzo śmiało, o potrzebach natury. „na długo, zanim węgiel się wyczerpie, gdzieś w atmosferze trzeba będzie znaleźć nowy substytut – pisał m.in. Herbert Kaufmann, amerykański pisarz i publicysta. – Wierzenie w celu poszukiwania ropy również odejdzie w przeszłość, bo naukowcy opracują nowe formuły chemiczne paliw. Dziś człowiek nie ma bladego pojęcia o siłach, jakie istnieją 50 stóp nad naszymi głowami. W roku 2023 nie zobaczymy torów, lokomotyw, ciężarówek, ani linii telegraficznych. Ruch komunikacji przeniosą się w górę, a kiedy zostaną prawidłowo ustanowione, to uzyskają energię z elektrowni, które Słońce i planety ładują od czasu powstania niebios...”. Może niekoniecznie całe prorocstwo Kaufmanna się sprawdziło, ale wizjoner przewidywał w jakimś stopniu i farmy fotowoltaiczne, i elektrownie wiatrowe, chociaż nie potrafił wtedy jeszcze tego nazwać.

To wszystko, co powyżej było tylko zachętą dla naszych Czytelników, w każdym wieku, by uruchomili swoje wizje, czy fantazje i wyobraźni sobie niewyobrażalne. A potem to zapisali. Naszą prośbę w tej sprawie kierujemy też do nauczycieli – może zdołają zachęcić swoich uczniów, by napisali, jak sobie wyobrażają – własną przecież – przyszłość.

Być może spotkamy się na konferencji „ludzi myślących z rozmachem” zorganizowanej przez Partnerstwo Izerskie, którymś z izerskich ośrodków kultury. Z pewnością najbardziej oryginalne prace opublikujemy w „Echach” i choćby symbolicznie uhonorujemy ich autorów.



Chata u Rycha

– Często witając naszych gości proponujemy im zabawę – prosimy, by policzyli wszystkie zegary, jakie znajdą w naszym domu. Jeszcze się nie zdarzył taki, który policzył dokładnie, choć wielu było bardzo blisko dobrej odpowiedzi. Ale nic w tym dziwnego, zegarów jest mnóstwo, mają rozmaity kształt, wiszą w zaskakujących miejscach, nie zawsze wyglądają na zegary... zabawa jest przednia, co ważne – dla wszystkich.

W „Chacie u Rycha”, zarządzanej przez Zofię i Ryszarda Pyplacz nie usłyszysz się jednak bicia zegarów. – Nasi goście pewnie by tego nie wytrzymali, my zresztą też nie – uśmiechają się oboje. – Wszystkie zegary są „na chodzie”, ale one mają tworzyć wizerunkowy nastrój, a nie hałasować. Są zresztą tylko elementem tego nastroju, bo gdyby powiedzieć,

że wchodząc do domu możemy poczuć się może nie jak w muzeum, ale na pewno – bajkowym skansenie wiejskiego gospodarstwa, to oddać ducha tego miejsca. A każdym niemal pomieszczeniu – szafy chlebowe, z charakterystycznymi dla tego mebla wywietrznikami. Mnóstwo młynków, wśród których te do kawy są w mniejszości. Ceramika, będąca pamiątką poprzedniej epoki, do niektórych mis wręcz nie wypada nasypać chipsów, bo są zbyt nobliwe na takie „smakołyki”.

– Z tego też powodu prosimy naszych gości, by zastanowili się, czy dzieci młodsze, niż 12-letnie będą się tu dobrze czuły – mówią gospodarze. – Jeśli mają słyszeć od swoich rodziców nieustanne „nie rusz, nie dotykaj”, to ani one nie będą miały frajdy z takiego pobytu, ani też inni goście, zmuszeni do słuchania takich rozmów. I ludzie to rozumieją. Są go-



spodarstwa „agro”, z wyposażeniem adresowanym dla dzieci, i są takie, jak nasze, nieco spokojniejsze, taki „azyl dla dorosłych”. Jak „U Rycha”.

„Chata u Rycha” to stary dom, który powstawał od nowa przez kilka ostatnich lat, tworzony pieczołowicie, w każdym detalu. „Rychu” nie jest zegarmistrzem, ale lubi zegary, więc „Chata” jest nimi wypełniona. Oboje przyjechali z Zachodu i upodobali sobie Pogórze z jego budownictwem, ubolewając tylko, że tak wiele pięk-



nych domów nie doczekało możliwości odbudowy zgodnie z duchem tu-tejszej architektury. – W takim domu – mówią – magia tkwi w każdej desce, trzeba tę magię tylko wywołać, podobnie jak się dawniej wywoływało zdjęcia – powolutku, starannie, nie przyspieszając ujawnienia

się tych szczegółów, które się same pojawiają w odpowiednim czasie. Są elementy, do których – tymczasem – trzeba przywyknąć, jak płot, który do tego domu nie pasuje i pewnie kiedyś zniknie. Nie powinien chronić domu, z którym meble pochodzą nierzadko z połowy XIX wieku.



Między bobrem i Bobrem, a świdośliwką, figą i pomarańczą

– Nie nazwałbym tego gospodarstwem agroturystycznym, to raczej malutki, bardzo kameralny hotelik na wsi – wyjaśnia Bogusław Mościcki, właściciel „Wilii nad Bobrem” w Pilchowicach. – Tworząc to miejsce nie myśleliśmy zatłoczonych pokojach, zawsze pełnych ludzi, a raczej o tym, żeby szukającym spokoju zaprezentować jakąś propozycję, nieco inną, niż konwencjonalna. Przenastczyliśmy piętro na adaptację „pensjonatową”, w której goście mogą się czuć w swojej przestrzeni, bo są autonomiczni – z własnymi kuchniami, łazienkami... Wspólną częścią naszego domu jest tylko sieni; z niej oni idą

sce w większych obiektach tego typu. U nas może jednocześnie przebywać raptem 9 osób, to ławiej taką stworzyć.

Z okien domu widać płynącą rzekę Bóbr, można niemalże sięgnąć ręką do nurtu. Widać też, jak urządzają się żerujące tu bobry. Właśnie zabrały się da drugiej jabłonki. Jedną już zwały, druga jest gotowa upaść, bo trzyma się na skrawku pnia. Egzystują w przybrzeżnych norach, więc na upartego można je zobaczyć z okien.

– Każdy, kto do nas przyjeżdża, szanując tę atmosferę – mówi B. Mościcki. – Dzieci u nas są też chętnie widziane, chociaż jasne, że psocą. Ale dorośli goście, uprzedzeni o tym, że dom jest otwarty dla dzieci jakoś się dogadują. Trochę gorzej jest ze zwierzętami, bo nie każde chętnie wspina się po stromych schodach. I zwierzęta niekiedy przeszkadzają gościom zajmującym pokoje obok. Pomijając fakt, że w nowym dla siebie miejscu nie tylko są niespokojne, ale i trochę niszczą, więc odradzamy. Dla gości mamy kajaki, rowery, dziesiątki kilometrów spacerowych tras pieszych, więc ci, którzy szukają spokoju i oddechu nie czują się rozczarowani, mimo, że nie mają kontaktu z kurami, kozami, czy modnymi teraz alpaki. Uważam, że sieć domów „agro”, czy pensjonatów wiejskich, lub mini-hotelików powinna mieć zróżnicowaną ofertę i na tyle odmienną od siebie, żeby przyjezdny mógł wybierać i decydować – czego poszukuje? I pewnie goście to sobie cenią, bo chociaż obiekt działa niezbyt długo, to ci, którzy przyjechali tu dwa – trzy lata temu, zdążyli już kilkakrotnie powrócić. Był już mężczyzna, który dwa tygodnie przejeździł w okolicach na rowerze i powiedział, że musi przyjechać znowu, bo Pogórze Izerskie jest po prostu wymarzone dla rowerów

Wprawdzie w tym domu ktoś szukający mebli wiejskich „z epoki”



nie znajdzie takich za wiele, bo gospodarze uznali, że priorytetem jest wygoda, ale wnętrza piętra mają swój klimat, bo zostały wpasowane w stare belkowanie ścian i sufitów. Schody i poręcze pamiętają przełom XIX/XX w., więc nie można narzekać na brak współczesnego komfortu w starym wystrój.

– Nie przepadam za „technicznym” językiem opisującym mini-hotelarstwo – powiedział B. Mościcki – więc nie będę mówił, że nasz dom nad Bobrem jest odpowiedzią na potrzeby jakiegoś „segmentu turystycznego rynku”, bo w naszych warunkach nie ma jakiegoś abstrakcyjnego „segmentu”, tylko każdy gość z indywidualnymi oczekiwaniami.



Pałac, czy... ...kościół?

Kierowca przejeżdżający przez Nawojów Łużycki w gminie Lubań widzi w pewnym miejscu drogi surowy, skromny obiekt z sygnaturką. To miejscowy kościół o nieefektywnej bryle, zresztą powstały nie tak dawno. Tylko nieliczni czasami decydują się na zatrzymanie obok świątyni, by zajrzeć na jej zaplecze. I wtedy przeżywają oczarowanie.

Ten kościół był bowiem jednym z wyjątkowo urodziwych pałaców, czy dworów na Pogórzu Izerskim. Ufundowany w latach 1570-71 przez Hansa Christopha von Tschirnhusa, renesansowy obiekt zachwyca zdobieniami, krużgankami. W mikroskali przypomina to najwspanialsze polskie zamki, bowiem arkady w przyziemiu i – jeszcze piękniejsze – na piętrze mają wprawdzie tylko kilka wnęk, jednak podobnego obiektu nie znajdziemy w tym regionie, obfitym w zamki i dwory w żadnej innej miejscowości. Zdobieniami są herby rodzin, będących właścicielami obiektu, portale z korynckimi pilastrami, wykusze. Można się dopatrzeć kariatyd – personifikacji Caritas i Flory, postaci muzykujących kobiet...

Po II wojnie światowej kilkakrotnie podawano obiekt konserwacji, ale proces niszczenia powoli i nieubłaganie postępuje nadal. W latach 60. tych XX w. we wnętrzu dworu usytuowano kościół filialny pw. Matki Boskiej Szkaplerznej (obecnie pw. Chrystusa Króla), ale istnienie świątyni nie ma ani związku, ani wpływu na stan zaplecza obiektu.

Tym sposobem jedno z najpiękniejszych miejsc, które – eksponowane gdzie indziej – byłoby oblegane przez miłośników starych dworów i pałaców powoli popada w coraz większe zapomnienie.

Z dworem wiąże się także niezwykle oryginalna legenda. W 1626 roku wybuchł tu pożar, który zniszczył część obiektu. Przypisywano wybuch



pożaru sprawkom jednego z właścicieli dworu, który nie uszanował tradycji tych okolic, wymagających m.in. otoczenia troską bocianów i strzałem z rusznicy zabił ptaka. Nie minęło wiele czasu, jak w ogniu stanął dwór. Współcześni jednoznacznie stwierdzili związek przyczynowo-skutkowy ze zbrodnią na bocianie, stąd dwór stał się w ich opinii „ofiara bocianie kłatwy”. Biorąc pod uwagę marny los dworu także dziś być może warto się zastanowić, jak ową kławę zdjąć, by zabytek przysłużył się promocji gminy Lubań.

Bożkowice w kadrze

„Bożkowice zakłete w kadrze” to album dotyczący wsi. Wernisaż wystawy fotograficznej, towarzyszący premierze tej książki, odbył się w Zamku Rajsko w listopadzie br. Projekt został zrealizowany w ramach Dolnośląskiego Funduszu Małych Inicjatyw i wydany przez Narodowy Instytut Wolności. Inicjatorzy tego wydarzenia „poszli za ciosem” i ogłosili konkursy m.in. na projekt pocztówki wsi Bożkowice oraz przypinki z Bożkowic. Poinformujemy z przyjemnością o skutkach



na górę, my – do siebie, na parterze. Ale – jeśli chcą – mamy też części wspólne, np. altanę w ogrodzie (no i sam ogród) to możemy spędzić trochę czasu razem, opowiadając o najciekawszych miejscach. W samym ogrodzie – rozmaite rośliny, w tym i owocujące, od jabłek, przez wspomnianą tytułową świdośliwkę, dzikie pomarańcze, jagody kamczackie, figi, pigwę... Są i inne, ozdobne – cyprysy, bambus (o tyle interesujący, że zimozielony, a liście zrzuca dopiero... na wiosnę). W ogrodzie uprawiamy warzywa w namiocie i zachęcamy naszych gości, żeby w razie potrzeby się nimi częstowali, gdy przygotowują posiłki „u siebie”. Dla nas to ważne, bo buduje taką atmosferę wspólnego bytu, na którą nie zawsze jest miej-



Diabeł Giebułtowski

Jedną z najbardziej oryginalnych rzeźb, jaką udało się nam zobaczyć jest Diabeł Giebułtowski, ekspozycyjny w Giebułtowie. Diabeł jest cały i kompletny, jednak udało się nam dowiedzieć, że pomimo tego, to jest tylko pół rzeźby. Jak to możliwe?

Otóż skradający się diabeł to metalowy posąg, którego brodę stanowi rozpleciony warkocz liny, która swego czasu była liną nośną wyciągu na Szrenicę. A że takie liny muszą być co jakiś czas wymieniane, to ten kilkunastometrowy odcinek posłużył artysty – wizjonerowi na przygotowanie brody diabelskiej, która stanowi w dalszej części poręcz, prowadzącą wzdłuż schodów do... kościoła stojącego na zboczu wysokiego wzgórza.

Dla wielu krytyków ta instalacja była wystarczającym powodem, żeby odsądzić od przysłowiowej czci i wiary nie tylko pomysłodawcę i autora tego szkaradztwa, ale i wszystkich tych, którzy pozwolili na postawienie tego wyzwania nieopodal kościoła. Diabeł, w dodatku nagi i z podłym (jak to diabeł) wyrazem twarzy jest elementem obrazoburczym w krajobrazie Giebułtowa. Ale...

To jest tylko pół instalacji, bowiem u szczytu poręczy ma jeszcze stanąć rzeźba dziecka, dziewczynki, która będzie za ową brodę (linę) wciągała diabła do świątyni, żeby ten się nawrócił. Dziewczynki jeszcze nie ma, diabeł już jest, więc nieporozumienie też jest. W polityce, ale i sztuce oraz wszelkich relacjach międzyludzkich przyjmuje się świętą zasadę, że lepiej obrazić się (czuć się urażonym) wcześniej, niż za późno. W pierwszym przypadku można się wprowadzić narazić na rodzaj kompromitacji, ale w drugim – na opinię niedojdy. Zdaniem wielu obrońców wartości usprawiedliwia nader spieszoną reakcję.



A my?... czekamy na ową dziewczynkę, która będzie usiłowała wciągnąć diabła do stóp świątyni. To będzie rodzaj syzyfowej roboty, ale Syzyf to zupełnie inna rzeźba, która nie stanie w Giebułtowie, więc nie ma co o niej pisać.



Hulajnoga, ale nie hulaj dusza (i inne)

Przestępcy i sprawcy wykroczeń potrafią narobić szkody, ale nierzadko są ludźmi prymitywnymi i pozabawionymi krzyży wyobraźni. Kilka przykładów z Pogórza Izerskiego ilustruje to znakomicie.

Do jednego z domów w Olszynie włamali się złodzieje, kradnąc, co się da, nawet książki (intelektualiści?) i kawę. Ukradli też rejestrator obrazu, ale zapomnieli worka, do którego zapakowali ten łup. Worek odnalazł właściciel, po uruchomieniu rejestratora odtworzono zapis z kamer monitoringu. Ina ekranie pojawili się... złodzieje. Policjanci zyskali twarde dowody, złodziejom grozi twarda odsiadka.

Stare powiedzenie ilustrujące zasadę „hulaj dusza, piekła nie ma”, czyli inaczej „rób co chcesz” – znajduje nowe, bardzo współczesne formy realizacji. Reaktywacja mody na hulajnogi właśnie je zilustrowała, przynajmniej we Lwówku Śląskim. Nocą jeden z mieszkańców miasta zdecydował się pojeździć na hulajnodze elektrycznej. Fakt, że był mężczyzną dojrzałym (43-letnim) zwrócił uwagę policjantów, którzy częściej widują szalonych nastolatków. Młodszym z hulajnogą bardziej do twarzy, choć i dojrzałym amatorów tegoż wehikułu nie brakuje.

Okazało się, że hulajnoga jest wspomagana elektrycznie, a jej kierowca – energetycznie. Precyzyjnie – miał we krwi ok. jeden promil alkoholu. Policjanci byli pełni uznania dla sprawności mężczyzny i wycenili to uznanie na 2.500 zł mandatu, bo tyle przewiduje taryfikator. W hulajniu, nawet na hulajnodze warto mieć umiar.

W Gryfowie Śląskim złodziej ukradł kawałek... mostu. Uznał, że skoro most jest nieczynny, to można sobie bez szkody dla reszty wziąć nieduży fragment i sprzedać na skupie złomu. Rzeczywiście kawałek był nieduży, tyle, żeby można było unieść. Za to wyrok może być ciężki, bo za takie przestępstwo grozi do ośmiu lat odsiadki.



Konkursy z anegdotą

Tu zaszła zmiana

...

– Kiedy rozpoczynałam pracę w samorządzie – wspomina Dorota Marek ze Świeradowa, dziś dyrektorka „Stacji Kultury”, wówczas – początkująca pracownica sekretariatu Urzędu – niekiedy usiłowałam połączyć burmistrza miasta z burmistrzem Mińska. Geograficznie to raptem 7 – 8 km, ale system był taki, że trzeba było telefonować do centrali we Lwówku Śląskim i tamtejsza telefonistka sukcesywnie łączyła kolejne osoby. Zdarzało się, że to trwało nawet i dwie godziny, więc rozmówca, nawet umówiony, już był nieobecny. I nieosiągalny, bo przecież nie było telefonów komórkowych. Często więc jeden burmistrz wsiadał do samochodu i jechał do drugiego, co zajmowało zdecydowanie mniej czasu przy takiej skali odległości.

– Z perspektywy widać, jaka rewolucja dokonała się szczególnie w obszarze komunikacji – powiedziała D. Marek. – Pamiętamy przecież kiedy weszły pierwsze faksy i jaką były sensacją. Później kserokopiarki, które wyparły powielacze, początkowo spirytusowe, później – woskówkowe. Zapach denaturatu, który był niezbędny dla powielania kilkunastu kopii jakiegoś dokumentu długo unosił się w sekretariatach urzędów. A później – pierwsze komputery, z dzisiejszego punktu widzenia niewiele lepsze od maszyn do pisania. Ale dopuszczani byli do ich obsługi tylko zaufani pracownicy...

To wszystko było i przez niespełna 30 lat dokonała się rewolucja, a wspominki starszych dzisiejsze nastolatki traktują jak opowieści o wilku i zjedzonej przez niego babci.

Mamy dla naszych Czytelników propozycję: prosimy o napisanie wspomnień z Waszej pracy i warunków Waszego życia sprzed trzech – czterech dekad. Tak wiele się zmieniło, że te wspomnienia mogą być niewiarygodne, a przecież to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Na Autorów najlepszych prac czekają nagrody książkowe. A wewnątrz tego wydania „Ech” mamy jeszcze jeden konkurs, podobnego rodzaju, jednak skierowany już do młodszych Czytelników. Przytaczamy w naszym tekście wizję roku 2023, jakie roztaczali równo sto lat temu ówcześni naukowcy, przewidując jak będzie się zmieniał nasz świat. Niektóre aspekty przewidzieli bardzo precyzyjnie, w innych przypadkach – nie trafili. Ale lektura ich wizji jest bardzo interesująca.

Proponujemy więc: napiszcie Państwo, jak widzicie przyszłość naszego regionu za 50 lat. Co się zmieni? Jak bardzo się zmieni? Czy smartfony wciąż będą istnieć? Jak będziemy się przemieszczać? Czy będą nas dręczyć choroby, przed którymi nie ma ratunku? Czy będzie potrzebna policja, a jeśli tak – jak będą wyglądały śledztwa?

To zaproszenie kierujemy i do indywidualnych autorów, ale też do całych klas szkolnych, jeśli ich nauczyciele, czy wychowawcy zechcą zachęcić uczniów do takiej pracy. Na teksty czekamy do 28 lutego 2024 roku, w kolejnym wydaniu „Ech”, po skonsultowaniu z Autorami najlepsze zamieścimy w naszej gazecie.

Mural we wsi

Na murze świetlicy w Nieleśnie pojawił się mural. Wprawdzie Nieleństwo nie jest pierwszą wsią, w której ściana jednego z budynków jest tak przyozdobiona (pisaliśmy już o muralu .m.in. w Radomicach, w tej samej gminie Wleń), ale ten jest nie tylko ozdobą, ale też informacją, bardzo lapidarną, atrakcyjną w okolicy.

Znany nam autor, Jacek Knap pomieścił na niewielkiej przestrze-

ni i symbol wleńskiej gołębiarki (właściwie lokomotywy z gołębimi skrzydłami), stację kolejową na nieczynnym wprawdzie odcinku Kolei Doliny Bobru, ale z szansami reinkarnacji. most i pałac w Nieleśnie...

Autor jest jednym z tych twórców lokalnych, który (jak m.in. Adam Spolnik ze Starej Kamienicy) swoimi pracami promuje miejsce swojego życia i pracy. Z przyjemnością będziemy odnotowywać w kolejnych wydaniach „Ech” inne prace w innych miejscowościach.



Krzyż św. Andrzeja

Czy święty Andrzej miał coś wspólnego z kolejnictwem? To bardzo wątpliwe, bo przecież ten apostoł – męczennik żył w I wieku naszej ery, a wtedy jeszcze nikt sobie czegoś w rodzaju pociągu w ogóle nie wyobrażał.

Ale jednak znak na przejazdach kolejowych powszechnie nazywany jest „krzyżem św. Andrzeja”. Dlaczego?

Otóż apostoł Andrzej zginął męczeńską śmiercią na krzyżu, ale nie takim, jak Chrystus, tylko mającym właśnie skośnie ułożone ramiona. Litera „X” jest w alfabecie greckim pierwszą literą imienia „Chrystus”, więc nawiązanie oprawców do na-

uczyciela św. Andrzeja jest oczywiste. A kto wpadł na pomysł, by ten znak był ostrzegawczym na przejazdach kolejowych? Nie wiadomo, autorów pomysłu wykorzystania krzyża św. Andrzeja nie tylko w kodeksach drogowych, ale i w heraldyce, czy na flagach jest wielu, począwszy od USA, w których kilka stanów takie właśnie ma flagi, skończywszy na Rosji, gdzie wiele emblematów skonstruowanych jest z udziałem tego krzyża.



Do czego to służy?

Wygląda jak duża (bardzo duża) gruszka na końcu kija. Informujemy od razu, że NIE jest to: (1) urządzenie do przepychania czegośkolwiek, (2) Zapażacz do herbaty dla kompanii wojska, (3) głośnik, (4) blaszane opakowanie do mopa, itp., itd.

A więc co to jest?

Na odpowiedzi czekamy w siedzibie partnerstwa Izerskiego, w Świeradowie-Zdroju. Odpowiedzi można też przysłać drogą e-mail aż do 31 stycznia 2024 r.

W kolejnym wydaniu „Ech Izerskich” ujawnimy niezwykłą prawdę.



Pomnik lotnikom

Gdzie można upamiętnić nazwiska najwybitniejszych lotników z regionalnego Aeroklubu? W zasadzie wszędzie, ale piloci Aeroklubu Jeleniogórskiego znaleźli jedno z najlepszych dla tego miejsc – ścianę hangaru na Górze Szybówcowej nad Jeżowem Sudeckim. Wśród polskich nazwisk znalazło się tam też sporo nazwisk pilotów niemieckich, korzystających z możliwości lotów nad Jelenią Górą i w regionie. Jedno z nazwisk jest szczególnie – pilot kosmonauta, Mirosław Hermaszewski, też nierzadki gość w swoim czasie tego miejsca.